Rok III. Lwów, dnia 15 listopada 1897. Nr. 22.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Redakcya i Administracya otwarta codziennie od godz. 3—4 po południu.

PODSTAWA POLITYCZNA.

Kształcenie — w najszerszem znaczeniu tego wyrazu — polityczne ludu, t. j. zaprawianie go do świadomej, niezależnej działalności w sprawach publicznych, odbywać się powinno stopniowo, zaczynając od urządzeń i stosunków najbliższych, bezpośrednio go obchodzących, najlepiej mu znanych. Nasza inteligencya demokratyczna i w rozprawach teorytycznych, i w działaniu praktycznem zazwyczaj lekceważy to wskazanie, tę zasadę naczelną wychowania politycznego ludu. Pochodzi to niewątpliwie stąd, że bardzo często nadużywano tej zasady dla celów stronniczych, dla interesów klasowych. I dziś ci, którzy najchętniej ją głoszą, są w życiu publicznem przeciwnikami samodzielności politycznej ludu i nietylko nie przykładają ręki do stopniowego jej wyrabiania, ale nawet rozwój jej umyślnie powstrzymują. Zachowawcy galicyjscy, którzy przy każdej sposobności dowodzą, że lud »nie dojrzał« do samodzielności politycznej, wrogo patrzą na czynny udział włościan w samorządzie powiatowym, a w swoich projektach reformy gminnej ograniczają, bardzo dotychczas szczupły, zakres samorządu tej instytucyi. Nietylko w Galicyi, lecz nawet w zaborze pruskim stronnictwa, przywłaszczające sobie przywilej prowadzenia polityki narodowej, sprzeciwiają się stale każdemu dążeniu do samodzielności politycznej i społecznej ludu, co zwykle występuje najjaskrawiej podczas wyborów sejmowych i parlamentarnych, chociaż i w zwykłych warunkach życia publicznego nieraz ujawnia się wyraźnie.

Brak dojrzałości politycznej, mówiąc dokładniej, brak wyrobienia politycznego jest widoczny w rozwoju ruchu ludowego w Galicyi, w dążeniach programowych i w działalności praktycznej wszystkich stronictw zorganizowanych i luźnych odłamów opinii, które ruch ten przedstawiają. W programach, zwłaszcza w działalności tych stronictw nie spotykamy prawie wcale twórczej, zorganizowanej pracy społecznej i politycznej u podstaw. Stosunkowo najwięcej robią w tym kierunku socyaliści, ale charakter negacyjny ich programu politycznego psuje tę robotę, prowadzoną wzorem Penelopy.

Ten brak przygotowania politycznego sprawia, że na masy ludu działają najsilniej hasła popularne, frazesy jaskrawe, będące nie formułą, ale najogólniejszym wyrazem, jeżeli można tak powiedzieć, krzykiem potrzeb najpilniejszych, żądań nie cierpiących zwłoki, interesów żywo odczuwanych, ale nieuświadomionych dokładnie. Uświadomienie polityczne ludu odbywało się i odbywa w Galicyi w porządku odwrotnym. Dlaczego tak jest nie będziemy roztrząsali, zaznaczamy jeno fakt niewątpliwy, dodając, że w warunkach istniejących nie mogło bodaj być inaczej. Nietylko od przypadkowego rozkładu terminów wyborczych zależało, że rozbudzona świadomość polityczna ludu ujawniła się naprzód w walce o mandaty poselskie, że następnie dopiero zaczęła się agitacya o zdobycie stanowisk w samorządzie, w końcu zaś o opanowanie rad gminnych. Zresztą walka o mandaty w radach powiatowych i o zamianę składu rad gminnych ma przeważnie, jeżeli nie wyłącznie charakter polityczny, jest właściwie walką o wpływy polityczne.

Gdyby dziś ruch ludowy w Galicyi pozyskał wpływ decydujący na sprawy polityczne i na samorząd krajowy, byłby w niemałym kłopocie z powodu braku realnego, pozytywnego programu działania. Ma się rozumieć, znaleźliby się ludzie, którzyby w myśl żądań i interesów ludu program odpowiedni stworzyli i wprowadzili w życie, ale ich program i ta działalność nie byłyby wcale wytworem świadomości politycznej ludu.

Ta świadomość polityczna ludu w Galicyi — to przedewszystkiem świadomość woli i świadomość swej siły. Lud rozumie, lub tylko czuje bezwiednie, że powinien być samodzielnym społecznie i politycznie i że ma dosyć siły, żeby tę samodzielność zdobyć.

W zaborze pruskim lud polski lepiej jest przygotowany do roli samodzielnej w sprawach publicznych, ale to wyrobienie polityczne, zastosowane do warunków specyalnych, do celów wyłącznych, ściśle określonych, grzeszy jednostronnością. Można powiedzieć, że lud polski w państwie pruskiem jest politycznie zorganizowany, uświadomiony pod względem narodowym, ale do samodzielnego wystąpienia nieuzdolnionym w należytej mierze, nie posiada bowiem żywej świadomości swej siły społecznej, swego stanowiska w społeczeństwie narodowem. Działalność polityczna w zaborze pruskim ma charakter specyalny, odbywa się w warunkach wyjątkowych. Od dłuższego czasu jest właściwie działalnością bojową i, jako taka, wymaga przedewszystkiem organizacyi i karności sił narodowych. Dopiero demoralizacya w szeregach walczących, któą wywołała polityka ugodowa, wykazała, że zaprawienie ludu do samodzielnej akcyi politycznej, do bezpośredniego udziału w sprawach publicznych jest zadaniem i ważnem niezmiernie i pilnem, koniecznym warunkiem utrzymania pożądanej jedności i stałości dążeń narodowych.

Instytucye samorządu, istniejące w państwie pruskiem zarówno ze względu na swoją organizacyę zewnętrzną, jak — i nawet bardziej jeszcze — ze względu na zależność scisłą od administracyi państwowej, nie mogły być odpowiednią dla ludu polskiego szkołą samodzielności politycznej. Lud tę samodzielność, o ile ją posiada, jak również praktykę polityczną zdobywał na innej drodze, przedewszystkiem w stowarzyszeniach wszelkiego rodzaju i wogóle w zorganizowanej działalności zbiorowej Ustawy państwowe pruskie wyznaczają szerszy zakres swobód i praw obywatelskich, niż ustawy obowiązujące w Austryi i praktyka urzędowa w Galicyi.

Niewątpliwie lud polski sporo z tych ustaw skorzystał dla wzmocnienia swej świadomości narodowej, dla rozwoju swej samodzielności politycznej, poniekąd nawet i społecznej, ale, powtarzamy, skorzystał jednostronnie, bo ani urządzenia, ani stosunki istniejące nie dawały mu tej praktyki życia publicznego, która powinna być podstawą właściwej działalności politycznej.

Byłoby zbytecznem wyliczanie i roztrząsanie przyczyn, które sprawiły, że proces konieczny wyzwalania się politycznego i społecznego, a zarazem unaradawiania ludu przeskoczył w Galicyi stadya pośrednie porządku normalnego, w zaborze pruskim zaś odbywać się musiał i dziś w pewnej mierze odbywać się musi jednostronnie. W objaśnianiu tych przyczyn mogą być znaczne różnice zdań i poglądów, ale fakt, rozmaicie pojmowany i tłomaczony, nie ulega chyba wątpliwości.

Skoro więc dziś w zaborze rosyjskim myśl polityczna społeczeństwa naszego, wyzyskując nietyle istniejącą, ile przewidywaną możliwość swobodniejszego działania w sprawach publicznych, szuka dla niego podstawy w instytucyi samorządu gminnego — cieszyć się musimy z tego objawu, pozwalającego żywić nadzieję, że tam, gdzie warunki życia narodowego są najgorsze, rozwój świadomości i samodzielności politycznej ludu zaczyna się w porządku właściwym.

Oddawna w społeczeństwie polskiem zaboru rosyjskiego zyskała uznanie, chociaż nie wydała rezultatów praktycznych myśl pracy politycznej u podstaw, w gminie i w instytucyach, mających styczność bezpośrednią z ludem. Ta myśl była wnioskiem koniecznym z faktu, że w Królestwie gmina jest jedyną instytucyą publiczną, mającą chociaż dosyć ograniczony zakres samorządu. Innej podstawy dla działalności praktycznej niema, trzeba więc korzystać z tej, która jest, i z takiej, jaka jest obecnie. Zaledwie zjawiła się możność swobodniejszego roztrząsania spraw publicznych, opinia publiczna zwróciła uwagę na sprawy samorządu gminnego.

Szczególne znaczenie działalności w gminie, w bezpośredniem zetknięciu się z ludnością wiejską, zaznacza w swym programie stronnictwo demokratyczno-narodowe. Rozwój samorządu gminnego jest dla nas ważnym nietylko z tego względu, że dziś w tym zakresie działalności praktycznej można najskuteczniej prowadzić realną pracę polityczną. Dla nas instytucya samorządu gminnego nawet w zmienionych warunkach prawno-państwowych stanowi najpewniejszą podstawę, najlepszą szkołę wyrabiania świadomości, oraz samodzielności politycznej i społecznej ludu.

Gmina wiejska w Królestwie ma w rzeczywistości mniejszy zakres działania, niż przyznaje jej ustawa. Ta ustawa ma dosyć znaczne wady i różne braki, bądź co bądź tworzy jednak z gminy instytucyę samorządu, powołującą do udziału w nim przedewszystkiem lud wiejski. Wydana w tym czasie, gdy rząd rosyjski probował przeciwstawić inteligencyi lud polski i oprzeć na nim swą władzę, przerobiona w tym duchu przez demagogów carskich z dawnej ustawy, projektowanej przez Wielopolskiego — dziś, w zmienionych warunkach politycznych, kiedy nasza polityka narodowa staje się demokratyczną, niemal wyłącznie ludową, ustawa gminna, w innych okolicznościach i dla innych celów ułożona, może, zarówno ze względu na swe dodatnie, jak i ujemne strony, umiejętnie w działalności praktycznej być wyzyskaną. To, co było w niej niedawno jeszcze dla sprawy narodowej szkodliwem, dziś jest, lub przynajmniej może być pożytecznem, np. przewaga żywiołu włościańskiego. Rząd w swoim interesie nadał instytucyi samorządu gminnego charakter demokratyczny, ludowy, obecnie utrzymanie tego charakteru gminy jest sprawą bardzo ważną dla naszej polityki narodowej.

Działalność inteligencyi demokratycznej w gminie jest z wielu względów utrudnioną. Do udziału bezpośredniego w sprawach gminy są dopuszczeni tylko właściciele ziemi. Księża, nauczyciele, lekarze, kupcy, przemysłowcy i t. d. nie mają głosu na zebraniach gminnych, o ile nie są właścicielami gruntów, a wskutek włączenia do gmin dawnych miasteczek, liczba tej kategoryi osób jest dosyć znaczną. Tylko więc wyjątkowo może być mowa o bezpośrednim udziale w sprawach gminnych przedstawicieli inteligencyi, pozostaje im atoli niemniej ważna sfera wpływu pośredniego.

Lud w gminie sam musi wyrabiać swoją samodzielność społeczną i polityczną, liczyć przedewszystkiem na własne siły. W tem zadaniu wpływ pośredni inteligencyi szczerze demokratycznej i patryotycznej może mu być bardzo pomocnym. Taki stosunek wzajemny opóźni zapewne proces społecznego i narodowego uświadamiania ludu, ale natomiast ochroni go, jak również inteligencyę demokratyczną od warcholstwa demagogicznego. Praca polityczno-społeczna u podstaw odbywać się musi pod hasłem »przez lud dla ludu«, bo innej formuły działalności praktycznej w kierunku dążeń inteligencyi dziś niema.

Odsunięcie inteligencyi od udziału bezpośredniego nie jest jedynem utrudnieniem działalności publicznej w zakresie samorządu gminnego. W rozprawach dotychczasowych o gminie i możliwej w niej działalności pominięto niemal zupełnie w prasie warszawskiej — zapewne ze względów cenzuralnych — punkt bardzo doniosły. Gmina w Królestwie, jak również w Galicyi i w zaborze pruskim, jest nietylko jednostką samorządu, ale zarazem najniższym organem władzy administracyjnej. Podział odpowiedni tych dwóch, zwykle sprzecznych z sobą funkcyi jednej instytucyi jest ze względów praktycznych dosyć trudnym. Nawet idealnie bezstronna, życzliwie dla samorządu usposobiona administracya państwowa nalegałaby na spełnianie przedewszystkiem przez gminę czynności, należących, według terminologii galicyjskiej, do »poruczonego zakresu działania«, chciałaby mieć w gminie sprawny i dobrze spełniający powierzone mu zadanie organ wykonawczy. Tem bardziej dążyć do tego musi administracya rosyjska, obejmująca cały zakres działalności, który gdzieindziej należy do wyższych organów samorządu i z natury swej i tradycyi przeciwna wszelkiej samodzielnej inicyatywie społecznej, wreszcie wrogo względem narodowości polskiej usposobiona i w interesie własnym, oraz w interesie rządu broniąca systemu biurokratyczno-policyjnego.

Dosyć powszechnem a szkodliwem złudzeniem jest przypuszczenie, że usunięcie praktykowanych dzisiaj nadużyć administracyi powiatowej i gubernialnej wprowadzi sprawę samorządu gminnego w Królestwie na nowe tory. Dopóki ta dwoistość instytucyj gminnych, o której mówiliśmy wyżej nie zostanie usuniętą, a raczej uregulowaną, dopóty samorząd gminny nie będzie mógł rozwijać się swobodnie i odpowiedzieć swoim właściwym zadaniom. Usunięcie zaś tej dwoistości nastąpi wtedy dopiero, gdy pewna, dosyć znaczna część dzisiejszej kompetencyi władz administracyjnych przejdzie na organy samorządu ziemskiego. Z tego i bodaj tylko z tego względu zaprowadzenie w Królestwie instytucyi ziemstw może być w obecnych nawet warunkach pożądanem dla nas.

Ustawa przewiduje możność podziału czynności władz gminnych, stosownie do dwojakiego zadania gminy, jako jednostki samorządu i jako niższego organu administracyi. Do rady gminnej, dziś zupełnie pomijanej należyć powinny sprawy samorządu, do wójta — czynności administracyjne. Dziś już nawet możnaby w pewnej mierze ten podział przeprowadzić.

Przeciwnicy społecznej i politycznej samodzielności ludu witają ze szczególnem zadowoleniem projekt zaprowadzania w Królestwie intytucyi ziemstw powiatowych i gubernialnych, wobec których sprawa samorządu gminnego, schodzi, ich zdaniem, na plan drugi. Istotnie w ziemstwach, ze względu na zakres ich działania i skład osobisty, zwłaszcza jeżeli używanie języka rosyjskiego będzie obowiązującem, otrzymają przewagę właściciele ziemscy i wogóle przedstawiciele dążeń i interesów społecznych, w dzisiejszym stanie rzeczy obojętnych sprawie narodowej. Dlatego właśnie stronictwo demokratyczno-narodowe powinno zwrócić szczególną uwagę na samorząd gminny, jako na szkołę polityczną ludu, i rozwijając energiczną działalność w tej instytucyi podstawowej, w zakresie spraw, podlegających jej kompetencyi, podnieść znaczenie gminy i, jeżeli zajdzie potrzeba, przeciwstawiać ją samorządowi ziemskiemu.

Ten ostatni zresztą wtedy tylko może być żywotnym, jeżeli oprze się na gminie dobrze zorganizowanej i niezależnej. Ujemne strony gospodarki publicznej ziemstw rosyjskich lub galicyjskich rad powiatowych pochodzą właśnie z braku takiej gminy, jakiej w Królestwie nie mamy wprawdzie, ale jaką mieć tam możemy.

Jeżeli gmina w Królestwie w dzisiejszym swoim ustroju i w dzisiejszych warunkach nie odpowiada należycie swemu zadaniu pod względem społeczno-gospodarczym, to pod względem społeczno-politycznym jest możliwą w niej działalność, rokująca rezultaty pomyślne. Reforma gruntowna zarówno samej instytucyi, jak jej gospodarki publicznej, jest niewątpliwie bardzo trudną i w niewielkiej tylko mierze zależną od naszej woli. Ale od nas samych zależy, żeby gmina wiejska stała się polem »walki o prawo«, tej walki, która stanowi — w różnych formach — istotę życia politycznego narodów ucywilizowanych, istotę postępowych dążeń społecznych. Rezultaty doraźne tej walki, która w gminie, i bodaj tylko w gminie, może być prowadzoną w szerszym zakresie na gruncie legalnym, niewiele nas obchodzić powinny. Tu nie oto chodzi, c o i i l e wskutek tej walki zdobędziemy, ale o to, że tylko w ten sposób, na tej drodze powinniśmy bronić praw swoich i interesów. Walka o prawo jest najlepszym środkiem wyrabiania samodzielności politycznej i społecznej ludu. W szczupłym, dobrze mu znanym zakresie spraw gminnych, które stanowią jednak jakby mikrokosmos społecznych i politycznych zadań narodowych, lud łatwo zdobędzie świadomość swoich potrzeb i interesów, zrozumie ich łączność z potrzebami i interesami całości narodowej. Nie na wiarę przyjmie, ale z własnego doświadczenia się przekona, że jego sprawa i sprawa narodowa — to jedno. Zanim weźmie świadomie udział czynny w działalności czysto politycznej, pozna doświadczalnie właściwy jej charakter, pojmie jej dążenia i zadania, przeświadczy się dowodnie, że jego interesy społeczne są ściśle połączone z interesami politycznymi narodu. Inteligencya demokratyczna powinna również uświadomić sobie, że chcąc dziś służyć sprawie narodowej, służyć musi przedewszystkiem, szczerze i wytrwale sprawie ludu, że jej działalność polityczna powinna mieć wyraźny charakter społeczny, powiedzielibyśmy nawet klasowy, uważając lud, bez względu na rozmaite kategorye ekonomiczne, jako całość zbiorową warstw pracujących. Takim był w pierwotnym swym zarysie program polityki demokratyczno-narodowej, i takim znowu dziś być powinnien, zrywając stanowczo i w zaborze rosyjskim z uznawaną do niedawna słusznie, ale szkodliwą obecnie zasadą solidarności społeczno-narodowej. Polityce ugodowej szlachty i mieszczaństwa, odpowiadającej interesom społecznym tych klas trzeba przeciwstawić śmiało i wyraźnie politykę demokratyczno-narodową, opierającą się na dążeniach i interesach ludu, przeciwstawić nie w programach, nie w rozprawach teoretycznych, ale w życiu praktycznem, w rzeczywistości codziennej, we wszystkich sprawach, które lud bezpośrednio obchodzą, a więc przedwszystkiem w zakresie spraw i urządzeń gminnych. Jakkolwiek w zakresie tych spraw inteligencya demokratyczna może przeważnie działać tylko pośrednio, ta okoliczność nie uwalnia jej od obowiązku czynnego popierania interesów społecznych i politycznych ludu, przeciwnie nakazuje zdwoić energię i gorliwość pracy obywatelskiej w kierunku wskazanym. Środki i sposoby odpowiednie łatwo znaleźć — wyliczanie ich byłoby zbytecznem, a z pewnych względów nawet szkodliwem, dla samej sprawy.

MŁODZIEŻ UNIWERSYTECKA W WARSZAWIE.

Ostatnimi czasy w prasie warszawskiej wywiązała się bardzo zajmująca polemika, której przedmiotem stał się uniwersytet warszawski i jego stosunki. Po jednej stronie stanęła *Biblioteka warszawska*, a za nią inne pisma, po drugiej zaś urzędowy *Warszawskij Dniewnik,* a właściwie przemawiający z jego łamów urzędnik, rektor uniwersytetu warszawskiego, prof. Zenger (czy *Saenger ?*). Powiedzieliśmy — urzędnik, bo rektor uniwersytetu warszawskiego nie jest wybierany, ale mianowany przez władzę wyższą. Początek dała *Biblioteka warszawska*, wystąpiwszy z krytyką stosunków uniwersyteckich, na którą p. Zenger pośpieszył z długą, obszernie argumentowaną odpowiedzią. Ze sposobności tej skorzystały inne pisma polskie i zabrały się do prostowania błędnych twierdzeń w artykule p. Zengera. Obie strony wypowiadają swe myśli bardzo oględnie i ostrożnie: prasa polska skutkiem zależności od cenzury nie może ostro napiętnować tego, co poprostu jest zbrodnią wobec cywilizacyi, urzędnik zaś rosyjski, ze względów dyplomatyczno-politycznych, nie chce być zbyt szczerym i wyraźnie powiedzieć, że władzom oświecenia w Warszawie wcale nie chodzi o oświatę.

Pozostawiając sobie na później ocenę ogólną stosunków uniwersyteckich w Warszawie, zwracamy tu uwagę tylko na młodzież uniwersytecką, na stosunek studentów Polaków do kolegów Rosyan i do władzy naukowej. Kwestyę tego stosunku, dzięki wspomnianej polemice, po raz pierwszy publicznie w Warszawie poruszono, nie spodziewając się zapewne, że niebawem wysunie ją na porządek dzienny samo życie.

P. Zenger, wypowiadając w *Warsz. Dniewniku* nadzieję, że stosunek młodzieży naszej do profesorów i do kolegów Rosyan w niedalekiej przyszłości się po-

prawi, i twierdząc, że niema po temu przeszkód poważnych, nie przypuszczał, że nazajutrz prawie w murach uniwersyteckich będą zajścia, zadające oczywisty kłam jego słowom. Młodzież polska okazała swą nienawiść i pogardę profesorom Rosyanom, którzy wysłali do Wilna telegram, wielbiący pamięć Murawjewa za »oswobodzenie Litwy od jarzma polsko-katolickiego«, studenci zaś Rosyanie przy tej sposobności manifestowali swą solidarność z władzą, sympatyę dla wygwizdanych profesorów oraz nienawiść do kolegów Polaków*).

Czy zajścia te są wypadkiem jakimś niezwykłym, chwilowo stawiającym tamę rozwojowi stosunków uniwersyteckich w kierunku pojednania polsko-rosyjskiego? Czy też są one normalnym wynikiem istniejącego stanu rzeczy, konsekwencyą całego układu stosunków? Jeżeli tak jest, to marzenie p. Zengera o sielance polsko-rosyjskiej w murach uniwersytetu warszawskiego musi pozostać marzeniem. Sprawę tę warto bliżej rozpatrzyć, ma ona bowiem niepoślednie znaczenie i może służyć za znakomitą ilustracyę do stosunków rosyjsko-polskich wogóle.

O młodzieży warszawskiej mówiono, a nawet pisano ostatnimi czasy sporo. Dosyć często dawała ona znaki życia, nawet po za murami uniwersytetu, nie pozwalając tem samem zapominać o sobie. Nikt wszakże z tych, co o niej sąd wydawali, czy to z polskiej strony, czy nawet z rosyjskiej, nie przypisywał jej burzliwego usposobienia, szerokiego temperamentu, ani skłonności do awantur. Owszem, porównywając studentów naszych z młodzieżą innych krajów, trzeba przyznać, że jest to młodzież przyzwoita, bodaj że zbyt przyzwoita, taktowna, flegmatyczna. Bądź co bądź wszakże jest to młodzież i, jako młodzież — mówimy o lepszej części — czysta jeszcze, nie skażona życiem, nie splugawiona geszefciarstwem, nie zdolna do zbyt hańbiących kompromisów. Jeżeli zdobywa się ona na jakiś krok energiczniejszy, to nie przez gorącą krew młodzieńczą, bo tej, niestety, zamało posiada, ale że się tak wyrazimy, pod wpływem wewnętrznego przymusu moralnego, nie pozwalającego zachować się biernie wobec widocznej aż nadto podłości.

Studenci warszawscy brali udział w manifestacyach przeciwrządowych, które niedawnymi czasy tak alarmowały nasze społeczeństwo; ale kto ich widział na ulicy, bądź idących z ogrodu botanicznego w d. 3 maja, bądź domagających się w parę dni potem wydania zwłok kolegi na Powązkach, bądź kroczących od Fary na Wązki Dunaj w d. 17 kwietnia, musi się zgodzić, że robili to właściwie bez temperamentu, a tylko z poczucia obowiązku.

Nie dlatego wyszli na ulicę, że chciało im się rewolucyi za jakąkolwiek cenę i w jakimkolwiek celu, ale dlatego, że widząc potrzebę czynnego protestu przeciw brutalnym i upokarzającym rządom Hurki i Apuchtina i nie mogąc się na nic energiczniejszego zdobyć, próbowali zaznaczyć swe stanowisko przynajmniej przez ukazanie się tam, gdzie ich władza nie chciała widzieć. To nam tłómaczy, dlaczego manifestacyom owym nie towarzyszyły żadne zajścia, żadne starcia z policyą. Gdyby ta młodzież miała choć trochę zawadyackiego temperamentu, bez takich starć wówczas nie obeszłoby się napewno.

Wydalenie z uniwersytetu i zesłanie do Rosyi znacznej ilości studentów warszawskich po manifestacyi 17 kwietnia 1894 r. ogromnie się odbiło na składzie młodzieży. Usunięto lepszą jej część, pozostawiając żywioły bierniejsze i mniej wyrobione moralnie, a nadto odstraszono od Warszawy pewną ilość młodzieży, świeżo wypuszczonej z gimnazyów. Zmniejszyła się liczba studentów, nie Rosyan, naturalnie ani Żydów, tylko Polaków, zwolniało tętno życia koleżeńskiego i obniżył się jego poziom. Młodzież warszawska po r. 1894 przedstawia się niesłychanie blado, anemicznie, pod względem świeżości myśli jałowa, wobec władzy pokorna i uległa, wobec zaś kolegów Rosyan i Żydów zruszczonych, bardzo, zabardzo tolerancyjna. Pod ostatnim względem posuwa się do tego stopnia, że przestaje niemal czuć się w murach uniwersyteckich, jak u siebie, ale poczyna traktować uniwersytet, jako grunt neutralny, gdzie wszyscy, bez względu na narodowość, za jednakowych są uważani kolegów. Gdy trzeba np. zorganizować sąd koleżeński, uważa za właściwe dopuścić do wyborów na sędziów studentów Rosyan, albo pozwolić na zasiadanie w sądzie delegatów rosyjskich i »żydowskich«, pomimo że przez to narażała się, iż o wszystkiem, co się śród niej dzieje, będzie wiedziała inspekcya, t. j. policya uniwersytecka.

Widocznie te objawy, dochodząc do wiadomości władzy, zrodziły tam przekonanie, że młodzież warszawska nie jest nieokiełznanym rumaki m, że przy pewnej zręczności w postępowaniu można wytworzyć życzliwy stosunek wzajemny pomiędzy studentami Polakami z jednej strony, a władzą uniwersytecką i młodzieżą rosyjską z drugiej.

Przekonanie to uwidoczniło się we wspomnianych już artykułach p. Zengera i w jego postępowaniu. Ostatnimi czasy zrobił on pewne względem studentów awanse, mianowicie, wypowiedział się przed kilkoma osobami ze społeczeństwa polskiego, że pragnąłby nawiązać lepsze stosunki z młodzieżą. Między innemi, złożywszy wizytę prof. Kosińskiemu, oświadczył, iż mileby widział u siebie paru przedstawicieli młodzieży polskiej, którzyby przyszli porozumieć się o wspólne z władzą uniwersytecką urządzanie koncertów i balów na dochód niezamożnych studentów*) i t. p. Zapewniał nawet podobno, że pieniądze, z balów i koncertów zbierane, byłyby rozdzielane wyłącznie między Polaków.

P. rektor zauważył, iż śród młodzieży panuje odpowiedni nastrój, który można wyzyskać w kierunku wytworzenia między studentami a władzą *modus vivendi*, uświęcającego wszystkie nadużycia ostatniej doby. Zapomniał on, że ten nastrój jest tylko chwilowym, pochodzącym z usunięcia najlepszego typu studentów, że w ciągu lat paru, przez które nowa młodzież z gimnazyów będzie napływała, musi się to zmienić.

Między władzą uniwersytecką a studentami Polakami stosunki, oparte na życzliwości i wzajemnym szacunku, są niemożliwe. Dlaczego — to rzecz bardzo jasna i prosta.

---

*) Dokładny opis tych zajść czytelnik znajdzie w korespondencyi z Warszawy. *Przyp. red.*

*) Dawniej co roku odbywał się jeden taki koncert i jeden bal w Warszawie. Po zgromadzeniu wpływów delegowano na każdy wydział profesora (zawsze Polaka), który w porozumieniu z młodzieżą rozdzielał zapomogi między najbiedniejszych studentów Polaków. Równoważyło to w drobnej mierze uprzywilejowanie studentów Rosyan przy rozdziale stypendyów. Gdy ostatnimi czasy poczęto do rozdawania tych zapomóg delegować profesorów Rosyan (w braku zresztą Polaków na niektórych wydziałach) i gdy znaczną część zapomóg zaczęli brać studenci Rosyanie, młodzież polska cofnęła się od urządzania tych balów i koncertów.

Młodzież przychodzi na uniwersytet po naukę. Żąda ona od profesorów, ażeby ci byli prawdziwymi ludźmi wiedzy, miłującymi naukę i przedewszystkiem dla niej pracującymi. Mieliśmy nieraz przykłady, że profesorowie będący dziwakami, najprzykrzejszymi w stosunkach, posiadali szacunek a nawet przywiązanie młodzieży, za to tylko, że byli przedstawicielami prawdziwej nauki. Widzieliśmy też młodzież socyalistyczną, rewolucyjną, publicznie wyrażającą uznanie profesorom konserwatystom, którzy nic nie robili dla pozyskania sobie względów słuchaczów. Jest to najlepszy dowód, że nie potrzeba politycznych sympatyi do tego, żeby stosunek między młodzieżą i profesorami ułożył się dobrze. Wystarcza drobna rzecz, mianowicie, żeby profesor był nauczycielem i uczonym, żeby uniwersytet był siedliskiem prawdziwej nauki. Czy uniwersytet warszawski może tym warunkom odpowiedzieć? Czy przy obsadzaniu katedr pamiętano o ich przestrzeganiu?...

Od chwili przekształcenia Szkoły Głównej na »cesarski uniwersytet« władza otwarcie na pierwszy plan wysunęła nie naukę, ale cele polityczne. Uniwersytet miał przedstawiać w naszym kraju rosyjską państwowość i rosyjską kulturę. Przyznaje to nawet p. Zenger w swoich artykułach. Przyśpieszać poczęto możliwymi sposobami usuwanie dawnych profesorów z katedr, a przy obsadzaniu ich nowymi za pierwszy warunek postawiono, żeby kandydat nie był Polakiem. Czy to miało znaczyć, że uniwersytetowi o naukę chodzi? Od czasu reformy jedyny Polak, jaki dostał katedrę — to znany p. Wierzbowski, i to dzięki temu tylko, że chodziło o katedrę literatury polskiej. Po dziś dzień te stosunki się nie zmieniły. Bo jeżeli na stanowisku profesora anatomii patologicznej ma być zatwierdzony dr. Przewóski, to tylko dlatego, że w Rosyi niema odpowiedniego specyalisty i że kandydat oddawna już wykładał z konieczności, choć nosił tylko skromny tytuł prosektora. Dowodem zaś, że system nie uległ zmianie, jest świeże obsadzenie katedry prawa cywilnego po Holewińskim, ktorego usunięto. Ustępujący profesor był znakomitością w swym zawodzie; śród naszych prawników mamy niejednego dobrego cywilistę, któryby mu może nie dorównał, ale nie miałby potrzeby się wstydzić, zajmując po nim katedrę; w Rosyi dobrych znawców naszego prawa cywilnego niema, bo tam nie obowiązuje, jak w Królestwie, kodeks Napoleona, i Rosyanin, choćby nawet najzdolniejszy potrzebom przyszłych naszych prawników odpowiedzieć należycie nie może; pomimo to wszystko władza ośmiela się na katedrę po Holewińskim wprowadzać jakiegoś Gusakowa. Obecnie stosunki są takie, że w całym uniwersytecie pozostało zaledwie sześciu profesorów Polaków. Resztę stanowią przybysze.

Pomijamy już to, że uniwersytet w Warszawie winien być polski, że katedry powinni zajmować przedstawiciele miejscowego społeczeństwa — Polacy, że młodzież polska w Polsce ma prawo żądać, ażeby ją uczyli Polacy, i protestować przeciw przybyszom, którym obca jest polska kultura i polskie potrzeby umysłowe. Mówimy o uniwersyteeie rosyjskim, z rosyjskim językiem wykładowym. Skoro się uznaje, że studenci Polacy mogą i powinni słuchać wykładów w języku rosyjskim, to trzeba uznać, że i wykładać po rosyjsku mogą Polacy. Jeżeli się ich systematycznie usuwa od katedr, to znaczy, że się żąda od profesora nie nauki przedewszystkiem. Naturalną jest rzeczą, iż profesor, który dostał katedrę dzięki temu, że jest Rosyaninem, przedewszystkiem myśli o tem, żeby być Rosyaninem, przedstawicielem »rosyjskiej państwowości i kultury«. A trzeba dodać, że od kandydatów nietylko wymagano żeby byli Rosyanami z urodzenia, ale także stawiano im za warunek posiadanie gorliwości politycznej w duchu rosyjskim. Przecież były wypadki, że kandydat, już mianowany, uciekał z powrotem do Rosyi, bo się nie chciał na ten warunek zgodzić, bo chciał być tylko uczonym i nauczycielem. Trzeba pamiętać, że, nie mając poważnych pod względem naukowym kandydatów Rosyan, władza mianowała na katedry miernoty, za to tylko, że posiadały odpowiednie przekonania polityczne. Pytanie teraz: co ma robić profesor, nisko stojący pod względem naukowym i w ogóle umysłowym, który dostał katedrę za to tylko, że jest »dobrym Rosyaninem«? co ma robić, jak nie manifestować ciągle swego »dobrego ducha rosyjskiego«? Co ma robić taki z przeproszeniem idyota w rodzaju profesora fizyki Ziłowa, jak nie wielbić publicznie Murawiewa, »który uwolnił Litwę od jarzma polsko-katolickiego«?... On to musi robić, żeby dowieść, iż nie jest zerem, że w braku kwalifikacyi naukowych »patryotyzm rosyjski« daje mu prawa do zajmowanej katedry.

Wobec takiego stanu rzeczy, p Zenger i wszyscy, co marzą o wytworzeniu życzliwego stosunku młodzieży do profesorów, są naiwnymi marzycielami. Młodzież musi ich nienawidzieć i nimi pogardzać. Przedewszystkiem dlatego, że są intruzami, że są obcymi, którzy wyparli ze stanowisk właściwych przewodników młodzieży, uczonych polskich, że zabijają naszą naukę, zajmując stanowiska, na którychby wyrabiali się nowi pracownicy polscy w różnych dziedzinach wiedzy. Powtóre, że są nieukami, niegodnymi piastowania katedr, nie dającymi młodzieży tego światła, którego ona w szkole wyższej szuka. Pomijając już rozmaitych Filewiczów, Karskich, Kułakowskich i t. p., których przedmiotem wykładu nie jest właściwie nauka, ale polityka, czem są profesorowie na katedrach matematycznych, przyrodniczych, lekarskich, na których nauki polityką zastąpić nie można? Czem są te Ziłowy, Stankiewicze, Somowy, Bewady, Zieńce, Wasiljewy, Taubery i wielu innych? Ich wykłady pełne są skandalicznych przykładów nieuctwa lub braku wszelkich uzdolnień. Najważniejszem zaś źródłem nienawiści i pogardy, jaką młodzież musi tych panów obdarzać, jest ich politykowanie dla karyery, ich dobrowolne przyjmowanie na siebie roli *„obrusitieli“*, manifestowanie nienawiści z ich strony do wszystkiego, co polskie.

Chcąc przygotować w dalszej przyszłości lepsze stosunki między młodzieżą a profesorami, trzeba zacząć stopniowe oczyszczanie uniwersytetu z tej hołoty, jak się go poprzednio »oczyszczało« z Polaków.

Przechodząc do studentów Rosyan, których p. Zenger także pragnąłby zaprzyjaźnić z młodzieżą polską, licząc widocznie na wrodzoną nam gościnność, to i oni nie są zwykłymi gośćmi na uniwersytecie warszawskim. Przed dziesięciu jeszcze laty studenci narodowości rosyjskiej stanowili w Warszawie bardzo skromny odsetek. Byli to wyłącznie synowie miejscowych urzędników i wojskowych, których obecność na uniwersytecie naszym o tyle przynajmniej była usprawiedliwiona, o ile obecność ich ojców na zajmowanych stanowiskach. Jako synowie czynowników w podbitym kraju, jako uprzywilejowani przez władzę stypendyści, pobłażliwiej nadto traktowani przy egzaminach, moralnie przedstawiali się oni nader nisko, z nienawiścią swą do polskości nie taili się, ale czując się w małej liczbie śród masy studentów polskich, zachowywali się skrom-

nie, nie narzucali się towarzyszom, nie żądali śród nich dla siebie miejsca, co najwyżej szkodzili polskim kolegom, służąc inspekcyi uniwersyteckiej za szpiegów. Przez ostatnich lat dziesięć liczba studentów Rosyan szybko się powiększała. Działały tu dwie przyczyny. Pierwszą był szalony wzrost liczebny czynownictwa rosyjskiego w kraju, przy coraz większem ograniczaniu pola pracy dla Polaków. Drugą, o wiele ważniejszą była sztuczna kolonizacya uniwersytetu ze strony władzy. Pragnąc wytworzyć większy odsetek Rosyan na wszechnicy warszawskiej, żeby mieć śród samej młodzieży poważne oparcie dla usiłowań rządowych i żeby było komu dawać kradzione stypendya polskie, pozwolono wstępować na uniwersytet warszawski wychowańcom prawosławnych seminaryów duchownych, z początku tylko na wydziały filologiczno-historyczny i matematyczno-przyrodniczy, a następnie i na prawny. Ponieważ żaden inny uniwersytet w państwie prócz tomskiego (na Syberyi) nie wpuszczał w swe mury młodzieży z tem świętobliwem przygotowaniem, przeto wszechnica warszawska odrazu stała się rajem dla popowiczów całej Rosyi, aspirujących do czegoś lepszego, niż *„rjasa“*, i siedliskiem sztucznej ich kultury. Doszło do tego, że dziś blisko trzecią część ogółu studentów warszawskich stanowią Moskale. Z początku napływający popowicze czuli się jakoś nie u siebie, robili pewne ceremonie z Polakami, cząstka ich nawet oświadczała się ze swemi dla nas sympatyami. Dziś wszakże, znalazłszy się w takiej liczbie, nabrali pewności siebie, rozzuchwalili się, zrozumieli, że chociaż są w mniejszości, to mając po swej stronie czcigodną władzę uniwersytecką, mogą pod wielu względami nad Polakami górować, zwłaszcza, że masa Żydów litewskich, którym ograniczenie procentu nie pozwala wstępować na uniwersytety rosyjskie i którzy też napływają do Warszawy, staje także w charakterze *„russkich Litowców“* przeciw Polakom.

Należało się spodziewać, że podobny układ stosunków nie podniesie w młodzieży polskiej uczucia tolerancyi względem kolegów Rosyan. Tolerancyi tej domagała się z jednej strony agitacya socyalistyczna śród studentów, nakazująca usuwanie różnic narodowych w stosunkach koleżeńskich, z drugiej zaś wywoływała ją pewna apatya i bierność przetrzebionej z energiczniejszych jednostek młodzieży. I pod tym względem wszakże należało się spodziewać zmiany pod wpływem nowych pokoleń młodzieży, wstępujących na uniwersytet w ostatnich dwóch latach. Tego także nie przewidziała władza, którą dochodziły wieści, że dzisiejsza młodzież nie traktuje kolegów Rosyan tak *en canaille*, jak to się dawniej praktykowało. Wypadki dwóch dni wystarczyły, żeby wszystkie te rzeczy wyjaśnić w sposób, nie pozostawiający żadnej wątpliwości.

Wziąwszy wszystko, cośmy wyżej powiedzieli, pod uwagę, z łatwością zrozumiemy, czem są świeże zajścia, które tak poruszyły opinię.

W oświetleniu powyższem fakt, że sześciu profesorów wysłało telegram do Wilna na uroczystość położenia kamienia węgielnego pod pomnik Murawjewa i że wypowiedziało w nim wyraźnie swą nienawiść do polskości, jest całkiem naturalny. Za czasów Hurki podpisałoby się pod nim więcej »uczonych«, dziś wszakże nowa szkoła działaczów uznaje potrzebę pewnego politykowania, więc tylko nieprzejednani fanatycy starego systemu położyli pod telegramem swe nazwiska. Zrozumiałem też zupełnie i naturalnem jest zachowanie się wobec tego faktu naszej młodzieży.

Najpierw ukazała się odezwa hektografowana, potępiająca postępek sześciu profesorów i pochodząca od starszych studentów, niedobitków wczorajszej doby. Odezwa ta, poczciwa, ale niezdarna, gadatliwa i jęcząca, jest wyrazem tej pseudohumanitarnej impotencyi, która, jak zaraza, panowała śród naszej młodzieży przez całe lata. Jest tam odwoływanie się do reszty profesorów, do kolegów Rosyan, jest świadczenie się »uczciwą opinią rosyjską«, jest wreszcie wyklęcie owych sześciu winowajców, jako ludzi niehumanitarnych. Niema zaś rzeczy najważniejszej, mianowicie, że osławionym telegramem młodzież nasza została obrażona w swych uczuciach polskich *). Odezwa ta jest znakomitym dokumentem do charakterystyki tej młodzieży, która została na uniwersytecie po wydalaniach w r. 1894.

Należało się spodziewać, że młodsze, normalniejsze pokolenie studentów w bardziej żywotny sposób zaprotestuje przeciw »czynownikom na katedrach«. Wygwizdanie i wywołanie z sali wykładowej pp. Filewicza i Ziłowa było dziełem studentów najmłodszych, prawie wyłącznie słuchaczów pierwszego kursu. Postąpili oni całkiem słusznie i naturalnie. Autorowie telegramu obrazili uczucia młodzieży, na obrazę zaś odpowiada się nie skargą, ale policzkiem. Ten wyraz oburzenia nie był żadną rewolucyą, żadnym buntem, jak niektórzy przedstawiciele władzy chcą tę rzecz przedstawić, tylko zbiorowym policzkiem, wymierzonym przez młodzież ludziom, którzy ją obrazili. Tak, jak nasi studenci w tym wypadku, postąpiłaby rozsądna i szanująca się młodzież każdego uniwersytetu wobec profesora, który ją obraził, bez względu na to, czy byłby on rodakiem, czy obcym intruzem.

Jeżeli władza uniwersytecka chce mieć młodzież, nie reagującą na podobne wybryki profesorskie, musi co rok po wakacyach wymyślić coś na wyprobowanie temperamentu nowo wstępującej w mury uniwersutetu młodzieży, i wszystkich, co okażą zwykłe poczucie godności osobistej i jaką taką energię, odrazu wydalić. Tylko nienormalne pokolenie młodzieży, zaoperowane, jak resztki pozostałe po 1894 r., może zachować się w takich wypadkach biernie lub poprzestać na ślimaczej, gadatliwej odezwie do profesorów i »kolegów« Rosyan.

Niemniej naturalne i zrozumiałe jest zachowanie się w danym wypadku studentów rosyjskich, którzy wykazali swą bezwzględną solidarność z policyą uniwersytecką i z wygwizdanymi profesorami-szowinistami. Gdyby ich było mniej, nie byliby tak zuchwali, obawialiby się obrażać uczuć młodzieży polskiej, ale czując się w liczbie pokaźnej i rozumiejąc, że władzy oraz jej rusyfikacyjnym widokom zawdzięczają swą bytność na uniwersytecie i swe stypendya, we własnym interesie ofiarowali tej władzy swą pomoc przeciw Polakom. Zajścia ostatnie, pozornie tak mało znaczące, mają między innemi ten doniosły skutek, że na długie lata określiły zupełnie jasno wzajemny stosunek studentów Polaków i Rosyan w Warszawie. Będą oni ze sobą całkiem już otwarcie »na noże«, i ta nawet część naszej młodzieży, która miała, niewiadomo skąd pochodzące, złudzenia co do możliwości stosunków z Rosyanami mniej więcej koleżeńskich, obecnie musiała się rozczarować.

Tak tedy sprawa pp. Filewicza, Ziłowa i towarzyszów, przyszła w samą porę, przyczyniając się do

*) Podobno nawet odezwę tę wydano także w przekładzie na język rosyjski (!), nie mieliśmy wszakże możności tego sprawdzić.

wyjaśnienia istniejącego i możliwego na przyszłość stosunku między młodzieżą polską a profesorami i studentami Rosyanami w Warszawie. Wykazała ona jasno, iż opinie, wypowiedziane w tym przedmiocie w artykułach p. Zengera w *Warszawskim Dzienniku*, są błędne. Wysiłki w kierunku jakiego takiego uregulowania tego stosunku i wytworzenia przyzwoitego *modus vivendi*, przy utrzymaniu w całości dzisiejszej organizacyi uniwersytetu i zasad, któremi władze naukowe się kierują, przy konsekwentnem kolonizowaniu szkoły profesorami i studentami Moskalami, nie mają żadnych widoków powodzenia. Młodzież ma prawo wymagać, ażeby ci, co zajmują katedry uniwersyteckie, byli prawdziwymi, szczerymi przedstawicielami nauki, żeby, jako ludzie, dorastali pewnej miary moralnej Tym, co warunkom powyższym nie odpowiadają, zawsze płacić będzie nienawiścią i pogardą. Okres pobytu na uniwersytecie — to wiek świeżości moralnej i idącej z nią w parze bezwzględności. W tym wieku zdolność do kompromisów, do obłudy jest znieprawieniem. Chociażby niewiadomo jakich wysiłków używali nasi szalbierze polityczni w celu wpojania w młodzież swoich zasad i nauczania jej swych sposobów postępowania, skutku nie osiągną. Bo jeżeli szkoła apuchtinowska nie zdołała jej znieprawić do tego stopnia, ażeby stała się przystępną dla podszeptów starych kusicieli w rodzaju pp. Baranowskich, to żaden inny czynnik nie zdoła w niej dobrych instynktów moralnych zabić. Ponieważ zaś młodzież się nie zmieni, tedy, chcąc zdobyć jej życzliwość i szacunek, szkoła zmienić się musi. *S.*

Z CAŁEJ POLSKI.

Wiec ludowy w Poznaniu. Dwa programy. Samodzielność polityczna ludu. Zdobycz ruchu ludowego. Biurokracya rosyjska. Trudność walki z prądami narodowymi. Stanowisko Polaków w Radzie państwa.

Stronnictwa niemieckie w Prusiech, zwłaszcza w prowincyach wschodnich oddawna już prowadzą agitacyę wyborczą. Zaczęły się wreszcie przygotowania do przyszłych wyborów i w obozie polskim. W Grudziądzu odbyło się wspólne zebranie delegatów i komitetu centralnego na Prusy Zachodnie, na Śląsku stronnictwo centrum musiało zawrzeć ugodę z przedstawicielami wyborców polskich, na Mazurach, z inicyatywy *Gazety ludowej*, organizuje się ruch ludowy i, ma się rozumieć, narodowy, nawet na kresach pomorskich i w koloniach polskich w Westfalii żywo zajmują się ludzie sprawą wyborów. Tylko w Wielkopolsce do ostatniej prawie chwili głucho było w tej sprawie. Dopiero wiec, zwołany do Poznania przez stronnictwo ludowe, przerwał ciszę i wywołał przynajmniej rozprawy w prasie. Z posłów jeden tylko p. Czarliński, przedstawiciel opozycyi przeciw polityce ugodowej, złożył sprawozdanie wyborcom z Bydgoszczy.

Za przykładem jego stanie przed wyborcami w Inowrocławiu niegdyś filar stronnictwa dworskiego p. Komierowski. Gdzieindziej przyjęcie przez wyborców tych posłów, przedstawiających przeciwne kierunki polityczne, byłoby wskazówką niemal niezawodną, w którą stronę przechyla się opinia publiczna. P. Czarlińskiego przyjęto bardzo dobrze, jak przyjmą wyborcy p. Komierowskiego — dotychczas niewiadomo. Prawdopodobnie, zwyczajem uświęconym, dadzą mu wotum zaufania.

Pomiędzy stronnictwem ludowem a dawną »partyą dworską» stoi znaczna część, bodaj większość społeczeństwa, nie mająca własnego, samodzielnie wyrobionego zdania w sprawach politycznych. Dotychczas ta większość ślepo wierzyła w dogmat solidarności narodowej i dla jej zachowania gotowa była na wszelkie ustępstwa ze swych przekonań, nawet ze swych uczuć patryotycznych. Dzięki tej większości wyborcy polscy posyłali do Berlina, jak szorstko wartość niektórych posłów określił dzielny rzemieślnik p. Andrzejewski — »idyotów politycznych«, których autor »Naszej sprawy« grzeczniej trochę nazwał »kalekami umysłowemi«.

Dzisiaj głównem zadaniem ruchu ludowego w Poznańskiem jest rozbudzenie myśli politycznej w masie niezdecydowanych wyborców i to zadanie kierownicy stronnictwa zrozumieli. Naszem zdaniem, stronnictwo ludowe nie może obecnie liczyć na to, że większość wyborców za sobą pociągnie, że przeprowadzi chociażby kilku kandydatów, zgadzających się w zupełności na jego program polityczny. Przed rokiem, kiedy bankructwo polityki ugodowej było dla każdego widocznem, kiedy jej kierownicy, skandalicznie skompromitowani, nie wiedzieli, co robić i jak stanowisko swoje ratować, wybory zmieniłyby może gruntownie skład osobisty przedstawicielstwa polskiego w sejmie i parlamencie. Obecnie, gdy po znanej deklaracyi p. Komierowskiego posłowie polscy wrócili do polityki opozycyjnej, do przekonania znacznej części wyborców trafia argument, że nie ma powodu wszczynać waśni, skoro Koła polskie w Berliaie prowadzą znowu politykę narodową, zgodną z dążeniami i interesami ogółu. Ten ogół nie zastanawia się nad tem, że zbankrutowani zwolennicy polityki dworskiej nie dają żadnej rękojmi moralnej, że jej nie dają również ci bezbarwni posłowie, których p. Andrzejewski tak rubasznie ochrzcił. »To przecie powinno być dla wszystkich jasnem — powiada *Orędownik* — że p. Kościelski nie byłby nigdy w Berlinie takiej nieszczęsnej roli odegrał, gdyby nie był otoczony w znacznym procencie ludźmi, nie mającymi potrzebnej kwalifikacyi, mniejsza o to, czy ich kto nazwie »idyotami politycznymi«, czy »kalekami umysłowemi«.

Wybranie ponowne tych samych posłów, którzy się polityką ugodową skompromitowali, nie może odbyć się bez zaciętej opozycyi. Zwolennicy ruchu ludowego odgrażają się, że będą kandydatury kierowników partyi dworskiej i w Poznaniu i na prowincyi rozbijać.

Na wiecu poznańskim dr. Szymański w imieniu komitetu ludowego odczytał następujące oświadczenie:

»Solidarność narodową przy wyborach uważamy za obowiązek święty każdego Polaka, a naruszenie jej za krzywdę i straszne niebezpieczeństwo dla sprawy narodowej.

»Rozumiemy solidarność przy wyborach tak, że każdy obowiązany służyć sprawie narodowej w zwartym szeregu narodowym, a nie samopasem, ale nikt nie jest zobowiązany — z pogwałceniem własnego przekonania i sumienia chodzić z drugimi gromadą pod hasłem solidarności, fałszywie pojętej, i pracować na szkodę sprawy narodowej.

»Rozumiemy ją tak: że solidarność przy wyborach ma wzmacniać odporną siłę ruchu ludowego, ale nie być hamulcem w obywatelskim i politycznym rozwoju ludu, na którym dziś przyszłość żywiołu polskiego w zaborze pruskim spoczywa.

»Komitet jest za utrzymaniem solidarności przy zawarowaniu zasad politycznych, jak wyżej.

»Komitet sądzi dalej: że do utrzymania solidarności narodowej przy wyborach — potrzeba dwóch, a nie tylko jednego, a więc nietylko zwolenników ru-

chu ludowego, ale także i tych, którzy stoją na odmiennych zasadach politycznych.«

Pisma niezależne, jak np. *Dziennik berliński* i *Gazeta grudziądzka*, uważają, że to oświadczenie było »podaniem ręki do zgody«, ale ci właśnie, którzy zasady solidarności bezwzględnej bronią, o zgodzie słyszeć nie chcą. Nie o solidarność im chodzi, ale o stanowisko uprzywilejowane, którego musieliby się wyrzec.

Uchwały wiecu ludowego miały również charakter pojednawczy. Nie mam ich pod ręką w brzmieniu dosłownem, przytaczam więc w dosyć wiernem streszczeniu *Gońca wielkopolskiego:*

1) Ruch ludowy opiera stosunek ludności polskiej do rządu na traktatach wiedeńskich i na konstytucyi;

2) posłowie polscy mają obowiązek na tej podstawie prawno-politycznej oprzeć także swą akcyę sejmową;

3) posłowie nie mają prawa narzucania swych przekonań i zapatrywań ludowi;

4) naród liczyć może tylko na siebie samego i na własne siły;

5) zwolennicy ruchu ludowego nie oddadzą głosów na tych kandydatów na posłów, którzy na własną rękę prowadzą politykę, ale

6) oddadzą głosy na tych, co w zasadzie tę samą, co ruch ludowy, prowadzą politykę, i

7) solidarność, jak ją dotychczas pojmowali posłowie ugodowi, solidarność, hamująca rozwój polityczny ludu, zgubna jest dla społeczeństwa.

Na wiecu w Bydgoszczy p. Czarliński wygłosił następujący program:

»Trzeba odrzucić wszelkie bałamutne ułudy: trzymać się święcie praw naszych, zdwoić naszą energię i czujność społeczną i wytężyć wszystkie siły w kierunku sumiennej, dobrze obmyślonej, konsekwentnie przeprowadzonej pracy narodowej.

Ta praca ma zaś polegać:

1. na podtrzymywaniu ducha narodowego,

2. krzewieniu świadomości narodowej,

3. i wytworzeniu jak najwięcej samodzielnych obywateli, nie czyniąc różnicy pomiędzy pojedynczemi stanami społeczeństwa:

aby zapełnić luki, powstałe przez lekkomyślne pozbywanie się ziemi ojczystej i tem silniej zapewnić przyszłość bytu narodowego.«

Dziennik berliński słusznie zaznacza, że między tymi dwoma programami nie ma właściwie żadnej zasadniczej rożnicy, tymczasem dawne organy »partyi dworskiej« wystąpienie p. Czarlińskiego pochwaliły, a wiec ludowy potępiły. Tymczasem »bezstronny słuchacz, chwytając słowa i myśli na tym wiecu krążące, nie mógł nie zauważyć, że ogólny prąd górujący, po nad wszystkiemi drugorzędnemi tendencyami, dałby się streścić w zdaniu: Należy wytężyć wszystkie siły; aby zapewnić krajowi jak największą liczbę obywateli samodzielnie myślących, bez różnicy stanów i przedziałów społecznych! To była myśl zasadnicza i ślepy chybaby nie ujrzał, że w zasadniczym tym punkcie jednakowym był program działania, przyjęty przez oba wiece«.

To samo dążenie do rozbudzenia świadomości obywatelskiej ludu, samodzielności politycznej wyborców wyraźnie zaznaczonem zostało i na zebraniu w Grudziądzu. I jakkolwiek organy stronnictwa ludowego w zaborze pruskim nie są zadowolone z przebiegu tego zebrania, oceniając chłodno i bezstronnie przyjęte na niem uchwały przyznać trzeba, że są one dosyć znacznem ustępstwem w tej właśnie ważnej sprawie samodzielności politycznej wyborców.

Na całym obszarze Polski ta sprawa stoi dziś na porządku dziennym, stanowi główną, chociaż nawet nie zawsze uświadomioną różnicę programów stronnictw politycznych, najważniejszy punkt sporny. Z drugiej strony, dążenie do samodzielności politycznej i społecznej ludu ściśle łączy w jedno stronnictwo wszystkie zorganizowane obozy demokratyczne, które postanowiły tę zasadę na czele swych programów.

Wszędzie tam, gdzie wskutek warunków historycznych lud polski pozostawiony został sam sobie, np. na Górnym Śląsku bujnie rozwija się dziś ruch narodowy. O tem, co i jak się robi na Śląsku, nawet najbliżsi sąsiedzi tej dzielnicy niewiele wiedzą. Dopiero zetknąwszy się osobiście z kierownikami tego ruchu, przyjrzawszy się ich pracy, porównawszy stosunki dzisiejsze ze stanem rzeczy przed 10, a tem bardziej przed 20 laty, ocenić można należycie olbrzymi postęp odrodzenia narodowego. Niepodobna zaś odtworzyć w piśmie tego wrażenia, jakie wywierają ludzie i stosunki na Śląsku. Widzimy i czujemy, że w tej Staropolsce powstaje Polska nowa, dźwiga się pracą męzką, pewną siebie i śmiałą, a zarazem roztropną i ostrożną, konsekwentnie, stopniowo dążącą do wyznaczonego celu, nie przerywaną żadnemi wątpliwościami, nie zakłócaną sporami i przeciwieństwami wewnętrznemi. I widzimy na każdym kroku rezultaty tej pracy płodnej — we wzroście inteligencyi polskiej, w rozwoju towarzystw, prasy, przedsiębiorstw gospodarczych, wreszcie w rozwoju świadomości narodowej, samodzielności społecznej i politycznej ludu.

Dopiero wiedząc o tem wszystkiem, możemy ocenić właściwie kompromis wyborczy, zawarty pomiędzy kierownikami ruchu narodowego polskiego i stronnictwem centrum. Ten kompromis, niewątpliwie naogół dla ludności polskiej korzystny, nie odpowiadający jednak wszystkim słusznym jej żądanieom, nie jest, jak się niejednemu wydać może, dowodem przesadnej ostrożności, wątpiącej o własnych siłach, ale jest wynikiem rozumnego postanowienia, powziętego na podstawie dokładnego obrachunku wszystkich argumentów *pro* i *contra*. Nieliczna jeszcze inteligencya polska na Śląsku wyrabia sobie dopiero wpływ i stanowisko, przedstawiciele jej, z niewielu wyjątkami, nie mają jeszcze ani dostatecznej powagi wśród ludu, ani dostatecznych środków materyalnych, bo pamiętać trzeba, że posłowie w sejmie i parlamencie dyet nie pobierają. Pomimo tego wszystkiego, można byłoby dziś, zerwawszy sojusz z centrum, przeprowadzić w okręgach z większością polską 6 — 8 posłów narodowych. Taki tryumf wyborczy nie dał by sprawie naszej żadnych korzyści realnych. Zwiększanie liczby posłów polskich nie miałoby znaczenia praktycznego, nie zmieniłoby stosunku stronictw w parlamencie, a tem bardziej w sejmie, natomiast zerwanie sojuszu wyborczego podrażniłoby potężne stronictwo centrum i zwolniłoby je od wszelkich zobowiązań wobec Polaków. Dzisiaj centrum, ze względu na wyborców śląskich i na tych kilku posłów polskich, którzy do niego należą, musi bądź co bądź występować nieraz w obronie naszych praw i interesów lub przynajmniej zajmować stanowisko bezstronne. Skoro zaś straciłoby mandaty śląskie, łatwo wziąćby w niem mogły górę prądy reakcyjno-narodowe.

Zdobyczą polityczną ruchu ludowego jest uświadomienie społeczeństwu, że polityka rządu pruskiego względem Polaków ma cele wytknięte, od których nie

odstąpi i odstąpić nie może, że więc wszelkie ugody są złudzeniami i jeżeli kiedy cokolwiek rząd nam da, to tyle tylko, ile będzie musiał dać. Zaznaczono to wyraźnie w motywowaniu uchwał wiecu ludowego, a następnie ten sam pewnik polityczny powtarzali w sprawozdaniach posłowie, ci nawet, którzy niedawno do polityki ugodowej się skłaniali.

Odróżnianie prądów chwilowych, wywołanych pewnemi okolicznościami, od kierunków stałych, których wprawdzie niezmiennymi nazwać nie można, ale które modyfikują się bardzo wolno, w zależności od przetwarzania się stosunków społecznych i warunków zewnętrznych — jest jednem z najważniejszych zadań wykształcenia politycznego. Podobnie jak przed paru laty w zaborze pruskim, tak obecnie w zaborze rosyjskim polityka ugodowa zyskuje zwolenników przedewszystkiem dzięki temu, że społeczeństwo nie zdaje sobie sprawy z tej różnicy Gdyby ją rozumiało, rozporządzenie o obowiązkowem używaniu języka rosyjskiego w instytucyach prywatnych lub uczczenie pamięci Murawiewa w Wilnie nie byłyby »przekremi niespodziankami«. Obecnie politycy ugodowi tak tę sprawę przedstawiają, że potężna biurokracya przeciwdziałała na własną rękę przychylnej dla Polaków polityce rządu, mianowicie polityce samego cara i księcia Imeretyńskiego. Biorąc rzecz ze strony zewnętrznej, faktycznej, objaśnienie powyższe jest niewątpliwie zgodnem z prawdą. Istotnie, jak stwierdzają liczne fakty, chociażby np. sprawa modlitwy katolickiej w szkołach, biurokracya świadomie opiera się nawet wyraźnej woli cara. Ale biurokracya w Rosyi — to niemal cała inteligencya narodu, po za jej zdaniem nie ma tam żadnej opinii publicznej. Z natury swej, jako uosobienie rutyny rządowej i tradycyi państwowej, biurokracya przedstawia te właśnie stałe prądy polityki rosyjskiej, te jej dążenia zasadnicze, które tak powolnie tylko ulegają przeobrażeniom, że w rachubach działalności praktycznej uważać je, można za niezmienne.

Jeżeli bezwzględnemu Mikołajowi I wyrwał się z ust znany, rozpaczliwy okrzyk, świadczący o bezsilności wszechwładztwa carskiego wobec zorganizowanej biurokracyi, to tymbardziej Mikołaj II musi się ugiąć przed tą potęgą, która od czasu jego pradziada rozrosła się oraz wzmocniła i zniszczyła w życiu publicznem Rosyi wszystkie czynniki, które jej wyłączne panowanie chociaż trochę ograniczały. Dzisiaj biurokracya, której składową częścią jest duchowieństwo prawosławne, stanowi nietylko mechanizm rządowy, ale i opinię publiczną, społeczeństwo, naród, słowem to wszystko, co ma jakąś świadomość polityczną. Po za nią jest tylko ciemna i bezmyślna masa kupiecka, robotnicza, chłopska, i drobna garstka niezależnej inteligencyi, o której zmarły niedawno pułkownik żandarmski p. Biełanowskij w głupim ale ciekawym wierszu z powodu śmierci Aleksandra II wyraził się pogardliwie, że *Rossija dowolno wielika cztoby was wsiech zaplewat'* (zapluć).

Świeżo właśnie *S. Pietierburskija Wiedomosti* zamieściły artykuł, wykazujący, że w sferach urzędowych i w prasie »grupa osób wpływowych« jawnie i zuchwale (*dzierznowienno*) występuje przeciw woli carskiej, przeciw wyraźnym, nie ulegającym wątpliwości zarządzeniom władzy najwyższej.

Główny zarząd spraw prasowych rozesłał okólnik do wszystkich dzienników rosyjskich, polecający, żeby nie zamieszczały wcale artykułów o modlitwie szkolnej dla innowierców.

Dotychczas zakaz taki był ściśle przestrzeganym i dziennik, któryby go naruszył, podlegał surowej karze. Obecnie znalazły się pisma, które na okólnik nie zwróciły uwagi, nietylko nie usłuchały zakazu, ale nawet, rzeczywiście zuchwale, krytykować zaczęły rozporządzenie, będące wyrazem osobistej woli cara . — i uszło im to bezkarnie. *Swiet*, na podstawie korespondencyi z Warszawy, napisał, że rozporządzenie o modlitwie »wywarło na uczniów prawosławnych wrażenie przygnębiające i zaniepokoiło ich sumienie«. Organy urzędowe duchowieństwa prawosławnego dowodzą, że rozporządzenie »nie jest dowodem tolerancyi, ale pobłażaniem fanatyzmowi innowierców«. Jeden z tych dzienników zapewnia, że rozporządzenie nie może być wykonanem i insynuuje, że wkrótce »pretensye innowierców wyrażą się żądaniem, żeby uczniowie prawosławni brali udział w modlitwie katolickiej, odmawianej po łacinie«.

Skłopotany i bezradny ks. Uchtomski pyta: czy długo jeszcze trwać będzie »to niesłychane zgorszenie jawnego przeciwdziałania woli monarchy«, ten bunt niewątpliwy biurokracyi. »I strasznie i niewymownie ciężko« na sercu humanitarnemu księciu, ale co na to poradzić — odpowiedzieć nie umie, i pojmuje, że car oporu biurokracyi siłą złamać nie może, bo gdyby zaczął z nią walkę jawną, przegrałby niechybnie i koronę i życie.

Powodzenie hakatyzmu dowodzi, że nawet w państwie, w którem ustrój konstytucyjny pozwala rządowi na pewną, w Prusiech nawet niemal nieograniczoną swobodę wyboru popierających go czynników politycznych, gdzie powaga korony i władzy jest tradycyjną — walka z prądami narodowymi jest bardzo trudną i w końcu rząd zwykle im ulega.

Nawet w różnorodnej pod względem narodowościowym Austryi rząd nie może dać sobie rady z obstrukcyą niemiecką, która przetworzyła się już dziś w ruch narodowy.

W tej walce z obstrukcyą Polacy zarabiają dotychczas na niewątpliwe obelgi i bardzo wątpliwe zaszczyty i poświęcając się istotnie dla polityki rządowej, nie mają nadziei uzasadnionej że w zamian otrzymają bezpośrednie korzyści dla kraju lub chociażby pośrednio osiągną pożądaną zmianę ustroju państwowego Austryi w duchu federacyjnym.

Niewątpliwie Polacy powinni byli w walce parlamentarnej zająć to stanowisko, które zajmują obecnie nasi posłowie bez różnicy stronnictw, z wyjątkiem socyalistów. Ale zgoła niepotrzebnie wysuwają się na plan pierwszy, nie mając żadnej rękojmi, że wyjdą zwycięzko z walki, lub że przynajmniej z honorem ją przegrają.

Wybór p. Abrahamowicza na prezydenta Rady państwa był błędem taktycznym. Nie zgadzało się nań początkowo Koło polskie, ale później uległo. Obejmowanie przez Polaków stanowisk odpowiedzialnych stwarza pozór »rządów polskich« w Austryi wtedy, gdy prawie na pewno powiedzieć można, że te »rządy« żadnego celu pozytywnego nie osiągną, a nawet łatwo skompromitować się mogą. Pisma galicyjskie nazywają to »poświęceniem dla państwa«, ale jeżeli każdy może poświęcać się osobiście, to nie wolno poświęcać samowolnie, nawet posłom, godności i interesów narodu, nie mówiąc już o tem, że nie należało wybierać na ofiarnika człowieka, nie mającego ani powagi, ani wybitnej siły umysłowej, śmiesznego i niezręcznego w postępo-

waniu, który i w Sejmie i w Radzie państwa niejednokrotnie złożył dowody, że brak mu przymiotu niezbędnego na zajmowanem obecnie stanowisku — mianowicie, taktu.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 8 listopada.

Skutki uznania dla Murawjewa. Zajścia w salach uniwersytetu. Ks. Imeretyński i straż obywatelska. Śledztwo. Szkoła ogrodnicza w Warszawie.

Poprzednio już wspomniałem o sześciu profesorach uniwersytetu warszawskiego, którzy w dniu położenia kamienia węgielnego pod pomnik Murawjewa wysłali do Wilna telegram, wielbiący pamięć »wielkiego człowieka rosyjskiego, hr. Murawjewa, który uwolnił Litwę od jarzma polsko-katolickiego«. Panowie ci nie przewidywali prawdopodobnie, że postępek ich wywoła zajścia, poruszające silnie ogół polski, a władzom rosyjskim przyczyniające niemało kłopotu. Młodzież polska musiała się uczuć tem wystąpieniem obrażoną — to niezawodnie rozumieli autorowie telegramu, tylko nie spodziewali się widocznie, że obrażeni dadzą swym uczuciom niemiły dla nich wyraz. Odpowiedź ze strony młodzieży zjawiła nie odrazu, prawdopodobnie z powodu przerwy w wykładach przez kilka dni świąt (Wszystkich Świętych). To też, zanim ją otrzymali, pp. profesorowie mieli możność jeszcze cieszyć się podziękowaniem od komitetu pomnikowego, który postąpił sobie sprytnie i wystosował je nie do sześciu autorów telegramu, ale do całego grona profesorskiego wszechnicy warszawskiej.

Pierwszym z osławionej szóstki, któremu po Wszystkich Świętych przypadło mieć wykład, był p. Filewicz, profesor historyi rosyjskiej na wydziale prawnym i historyczno-filologicznym. Wykład jego przypadł w piątek d. 5 bm. Wszedłszy do sali wykładowej, p. Filewicz zauważył, iż jest ona wypełniona po brzegi — co mu się po raz pierwszy w życiu zdarzyło, bo młodzież wykłady jego ignoruje — i że studenci stoją zamiast siedzieć. Zdziwiony tym niezwyłym dowodem uznania wstąpił na katedrę, ale zaledwie rozłożył notatki i otworzył usta, rozległo się w sali przeciągłe gwizdnięcie, a po niem nastąpił piekielny hałas: Gwizdanie, sykanie, tupanie nogami, krzyki »precz!«, »za drzwi, łajdaku!«, »idź Murawjewowi pomnik stawiać!« i t. p. Owacya ta trwała kilka minut, poczem tłum studentów opuścił salę. P. Filewicz, blady ze wzruszenia, po spartańsku wytrwał na katedrze i otrzymał nagrodę w postaci uznania od studentów Rosyan, którzy, zostawszy w sali, obdarzyli go hucznymi oklaskami. Zwróciwszy się do nich, męczennik rosyjskiego »patryotyzmu« i ofiara polskiego »szowinizmu«, wyrzekł z patosem: »Oto jest, panowie, polska tolerancya!« Wykład się odbył dla słuchaczów Rosyan, którzy do końca nie szczędzili szanownemu przedstawicielowi tolerancyi objawów uznania.

Nazajutrz, w sobotę przypadł wykład drugiego z szóstki, Ziłowa, profesora fizyki na wydziałach matematyczno-przyrodniczym i lekarskim. Koło godziny pierwszej, przed wykładem, na podwórzu uniwersyteckiem, koło wejścia do instytutu fizycznego zgromadziła się znaczna liczba studentów, którzy widocznie namyślali się, czy iść na wykład, czy nie. Opowiadano sobie, że cała inspekcya wraz z pedlami wszystkich wydziałów znajduje się na górze, w gabinecie fizycznym i przy wejściu do audytoryum. Możeby byli studenci namyślili się iść do domu, zwłaszcza, że starsi koledzy do tego namawiali, gdyby nie zauważyli, że »koledzy Rosyanie« ze wszystkich wydziałów i kursów, widocznie zmobilizowani przez inspekcyę, dążą na górę, by zapełnić salę wykładową. To, naturalnie, podrażniło zebranych. W jednej chwili namyślili się iść na wykład i rzucili się tłumnie po schodach ku wejściu do sali. Tam pedle próbowali nie puszczać studentów Polaków z tych wydziałów i kursów, które fizyki nie słuchają (choć przed chwilą Rosyan puszczali), ale nie zdołali się oprzeć tłumowi i musieli ustąpić, zwłaszcza gdy któryś został energicznie za kark odrzucony. Ziłow wszedł na wykład blady, krokiem niepewnym, przewidując awanturę. Ledwie też stanął przy pulpicie, gdy wszczął się taki sam hałas, jak poprzednio na wykładzie Filewicza. Siląc się na flegmę, oparł się łokciami o pulpit, aby przeczekać burzę. Stał tak z dziesięć minut milczący; studenci Polacy krzyczeli, łając go srodze, Rosyanie zaś bili brawo, czem tylko zwiększali hałas. Od czasu do czasu odzywał się któryś z Moskali, obdarzając polskich kolegów tytułem „*miatieżników*". W tem po nad głowami przeleciał pocisk — nie bomba dynamitowa, ale kalosz zwyczajny — odbił się o kant pulpitu i uderzył profesora w piersi. Kapłan nauki odskoczył od pulpitu, namyślając się, co robić, gdy ktoś zawołał: »gdzie drugi kalosz? dawaj go tu!« Wtedy p. Ziłow uznał za stosowne salwować się ucieczką, studenci zaś poczęli opuszczać salę. Znaczna część była już na dole, gdy koledzy z góry zaczęli ich wołać z powrotem, ażeby szli wysłuchać przemówienia rektora Zengera, który po ucieczce Ziłowa wszedł do sali. Wrócili też natychmiast. P. rektor starał się mówić w przyzwoitym tonie pojednawczym, wskazywał studentom, że to, co się stało, musi pociągnąć przykre następstwa, radził im, by dalszem swem postępowaniem nie komplikowali sprawy, wreszcie nakłaniał, by spokojnie wysłuchali wykładu Ziłowa. Studenci zachowali się wobec rektora całkiem lojalnie, tylko na propozycyę słuchania Ziłowa odpowiadali: »chcemy profesorów, nie czynowników!«, Moskale zaś wołali: »*prosim profiesora Ziłowa!*« Po przemówieniu rektora Polacy wyszli, Moskali zaś zostali, by wysłuchać wykładu, i wchodzącego do sali z powrotem Ziłowa powitali oklaskami. Zachowanie się Moskali podczas całego zajścia podrażniło studentów i doprowadziło do tego, że natychmiast na podwórzu uniwersyteckiem jeden z nich spoliczkował »kolegę Rosyanina«, który w zuchwały sposób o »buntownikach« głośno się rozwodził.

Umyślnie opisałem całe zajście szczegółowo, żeby uniemożliwić wszelkie przekręcanie i dopełnianie faktów.

O godzinie drugiej było po zajściu, a na trzecią już ks. Imeretyński wezwał do siebie czynnego jeszcze na katedrze prof. Kosińskiego, byłych profesorów Brodowskiego i Baranowskiego[1]), redaktorów Libickiego i Nowodworskiego, wreszcie dwóch »notablów«, pp. Ludwika Górskiego i Edwarda Natansona.

Zawiadomiwszy przybyłych o tem, co się stało, jenerał-gubernator przedstawił im szkodliwe skutki, mogące z zajść uniwersyteckich wypłynąć. Zajścia takie, jak mówił książe, utrudniają jego stanowisko i przeszkadzają mu rządzić krajem w duchu, życzliwym dla Polaków. Zwłaszcza obecnie, kiedy w sferach rządowych rozważana jest sprawa założenia w Warszawie politechniki, będą one poważnym argumentem przeciw, świadcząc, iż Warszawa jest siedliskiem niespokojnej, rewolucyjnej młodzieży. Dlatego w interesie społeczeństwa polskiego leży, żeby sprawa ta nie zaostrzała się, żeby skandale w audytoryach nie powtórzyły się. On, książę, mając odpowiednie środki do uspokojenia

[1]) Mówią, że był i prof. Holewiński, tego wszakże nie sprawdziłem.

młodzieży, nie użył ich, nie sprowadził na młodzież policyi, ani żandarmów. Wobec tego wszakże obowiązkiem jest wezwanych przez niego panów, jeżeli mają wpływ na młodzież, użyć go i powstrzymać ją od dalszych ekscesów.

Taka była mniej więcej treść przymówienia księcia. Co prawda, możnaby zauważać, iż policyi oraz żandarmów używa się wtedy, kiedy ma się do czynienia z wystąpieniami przeciw rządowi. W danym wypadku niczego podobnego nie było. Studentom szło tylko o wyrażenie swych uczuć pojedyńczym profesorom, którzy ich obrazili, że zaś nie mieli zamiaru wypowiadać wojny rządowi, najlepszym dowodem to, iż rektora przemawiającego traktowali całkiem przyzwoicie, nie dopuszczając się względem niego żadnego, wykroczenia przeciw przepisom. Podziwiać nawet należy wstrzemięźliwość młodzieży, która umiała sprawy nie skomplikować i ograniczyć ją do nienawistnych profesorów. Nie było więc właściwie powodu do użycia policyi. Nigdzie w świecie policya nie wprowadza na katedrę profesora, którego studenci nie chcą słuchać. Trudno także widzieć argument przeciw założeniu politechniki w tem, że na uniwersytecie paru profesorów nie podobało się młodzieży i że zostali wywołani z sali wykładowej. Od tego rodzaju zajść żaden uniwersytet nie jest wolny, o ile w gronie profesorskiem znajdują się ludzie nietaktowni i nieprzyzwoici, lub, jak w tym wypadku, poprostu podli.

Jakkolwiek ta rzecz się przedstawia, wystąpienie ks. Imerytyńskiego było całkiem lojalne, i słusznie postąpili wezwani przezeń obywatele, postanawiając natychmiast porozumieć się z młodzieżą. Inna rzecz, czy można pochwalić ich propozycye, czynione młodzieży. W takim razie bardzo łatwo stać się narzędziem do demoralizowania młodzieży, i rolę tę wziął na siebie — znów, niestety! — pan Baranowski.

Zadanie tych, którzy mieli młodzież uspokoić było ułatwione przez to, że niepotrzebowała ona już uspokojenia. Rozmawiając z paru studentami w godzinę po zajściu z Ziłowem, dowiedziałem się, że młodzież na tem skończy, uważa bowiem, iż już wyraźnie wypowiedziała swą opinię o postępku sześciu profesorów. Niewątpliwie zdecydował o tem między innemi wzgląd praktyczny, mianowicie, że pozostali czterej winowajcy, Kułakowskij, Grot, Smirnow i Karskij, wykładają tylko na wydziale filologiczno-historycznym, mają zatem bardzo mało słuchaczów, wyłącznie Moskali (Polacy na ten *per excellence* moskiewski wydział nie uczęszczają), a wykłady ich odbywają się w bardzo małych salach, nie przedstawiających pola do demonstrancyi. O tem wszystkiem wszakże na mieście nie wiedziano i spodziewano się dalszego ciągu sprawy.

Misyę uspokojenia młodzieży powierzono zgodnie redaktorowi *Kurjera codziennego*, p. Libickiemu, przedstawiającemu widocznie największe gwarancye pod względem taktu. Miał on nazajutrz, t. j. w niedzielę porozumieć się z przedstawicielami młodzieży. To nie przeszkodziło, że jeszcze w sobotę wieczorem, zbyt gorliwy zwykle i nazbyt dowierzający swemu geniuszowi politycznemu, p. Baranowski zaprosił do siebie dwu studentów w celu działania na swoją rękę.

Wylał on wobec nich całą rzekę łez, wypowiedział całe morze komplementów sobie, jako pierwszemu patryocie, i rządowi, jako przyszłemu dobrodziejowi Polaków, zapowiedział cały szereg ulg i łask, jakie mamy otrzymać, wreszcie zaklinał, ma się rozumieć, na miłość ojczyzny, żeby powstrzymali się od dalszych wystąpień. Gdy mu studenci powiedzieli, że nie ma się czego obawiać, bo i tak postanowiono na zajściu w Ziłowem skończyć, począł ich przygotowywać do następstw i zaproponował im, żeby przy wszczęciu śledztwa przez władzę, paru studentów wzięło winę na siebie, reszta zaś młodzieży żeby się wyparła wszelkiej z nimi solidarności. Jak się ktoś dowcipnie wyraził, żaden z dwu studentów nie miał kaloszy, skutkiem czego rozmowa się skończyła tylko kategorycznem oświadczeniem ze strony przedstawicieli młodzieży, że na podłość nie dadzą się namówić. Co prawda, całe szczęście, że tylko jeden taki p. Baranowski istnieje, bo gdyby kilku takich jegomościów przystąpiło do traktowania z młodzieżą, napewno podrażniliby ją i popchnęli do wystąpień o wiele energiczniejszych, któreby znacznie skomplikowały sprawę.

W niedzielę traktował ze studentami p. Libicki i paru innych poważniejszych przedstawicieli społeczeństwa i chociaż posuwali się zadaleko, bo starali się skłonić ich do biernego przyjęcia kary, jaka musi spaść na towarzyszy, pociągniętych do odpowiedzialności, to wszakże przyznać im trzeba, że nie obrażali przynajmniej zmysłu moralnego młodzieży.

Tegoż samego dnia rozpoczęte zostało przez władzę śledztwo, prowadzone przez sąd uniwersytecki. Sąd ten składa się z trzech profesorów, samych Rosyan! Należy do niego p. Azarewicz, profesor wydziału prawnego, który musiał opuścić katedrę zajmowaną w Odesie, dlatego że tamtejsi profesorowie nie chcieli z nim kolegować, uważając go za niehonorowego. Drugim sędzią jest p. Czausow, profesor anatomii na wydziale lekarskim, człowiek z bardzo skośnemi oczyma, bardzo spłaszczonym nosem i bardzo wystającemi kośćmi twarzowemi, jednem słowem, mocno się różniący rasowo od studentów, których ma sądzić, umysłowo ograniczony, a choć nie jest wyrafinowanie złym, zato jest niecywilizowany, nie obraca wcale takiemi pojęciami, jak poczucie godności osobistej, obraza uczuć ludzkich i t. p. Trzeciego członka sądu obecnie sobie nie przypominam. Punkt wyjścia do śledztwa znaleziono bardzo zręcznie. Studentów wydziału prawnego bada się, czy znajdowali się w audytoryum podczas zajścia z Ziłowem, wykładającym dla medyków, przyrodników i matematyków, ostatnich zaś zapytują, czy byli obecni w sali, gdzie wygwizdano Filewicza, wykładającego dla prawników i filologów. Badani studenci nie zapierają się i stwierdzają, że mieli całkowitą świadomość tego, co robili. Ostatecznie, trudno, żeby władza innych odpowiedzi oczekiwała.

Usposobienie śród młodzieży jest bardzo dobre. Rozumie ona, że zrobiła to, co do niej należało, że słuszność jest po jej stronie, że nic sobie do wyrzucenia mieć nie może. Obawiać się tylko należy, żeby zbyt surowy wyrok na uczestników demonstracyi nie nadał sprawie innego obrotu i nie popchnął ogółu młodzieży do czynów, któreby wywołały wcale niepożądane następstwa. Nawet bierniejsze żywioły śród studentów, zarówno starszych, jak młodszych, sympatyzują z powołanymi pod sąd, i wątpić należy, czy młodzież zechce się pogodzić z krzywdą, jaka ich spotkać może.

Powracając do oceny samego postępku młodzieży, to od paru już osób słyszałem zdanie, że postąpiła ona bardzo szlachetnie, że nikomu uczucia narodowe potępić jej nie pozwolą, ale że krok jej był niepolityczny. Jest to opinia z gruntu błędna, wynikająca z całego systematu politycznego myślenia naszej inteligencyi. Wystąpienia w rodzaju zajść omawianych są jedynym środkiem wskazania szowinistom moskiewskim granicy, której im w stosunku do nas przekraczać nie wolno. Dzięki tym tylko zajściom wpływowe sfery rosyjskie uświadomią sobie całą nietaktowność i nieprzyzwoitość postępku sześciu profesorów. Inaczej nie pomyślałyby o tem wcale. Jeżeli rząd, jak niektórzy twierdzą, istotnie ma zamiar wprowadzić pewien porządek w naszym kraju, to zajścia wspomniane więcej go oświecą o nienormalnych stosunkach uniwersyteckich, niż

*

całe rozprawy, drukowane w pismach, i memoryały, składane na ręce ks. Imeretyńskiego lub p. Ligina.

Gdy mowa o dobrej woli rządu, o której słyszymy od ks. Imeretyńskiego i w którą garść ludzi u nas wierzy, to, nie wychodząc ze stosunków szkolnych, nie od rzeczy będzie wspomnieć o szkole ogrodniczej w Warszawie.

Kilka lat temu istniała u nas prywatna szkoła ogrodnicza przy ogrodzie pomologicznym. Ale, gdy na miejsce prof. Aleksandrowicza mianowano dyrektorem ogrodu Rosyanina, szkoła przestała istnieć, nie mając terenu do zajęć praktycznych. Nowy dyrektor, p. Bieliajew, począł gospodarować po rosyjsku, posprowadzano ogrodników Rosyan, a pousuwano Polaków. Obecnie rząd otwiera szkołę ogrodniczą rządową z programem o wiele niższym. Organizacya jej i program przestały być już tajemnicą urzędową. Dowiadujemy się tedy, że w szkole, która ma kształcić praktycznych ogrodników dla naszego kraju, będzie wykładany język rosyjski, historya Rosyi, ale zato język polski z programu jest całkiem usunięty. Zwróciły na to uwagę już pisma warszawskie. Nadto szkoła nie będzie miała ani jednego nauczyciela Polaka, prócz księdza do nauki religii (jest etat i na popa prawosławnego). Tego wszakże pismom warszawskim nie wolno podnieść, że kierownictwo nad młodzieżą w nowej szkole powierzają zbrodniarzom. Jednym z głównych nauczycieli mianowano niejakiego Lemiechowa, pomocnika inspektora ogrodu. Człowiek to prosty, bez żadnego wykształcenia (ukończył zaledwie niższą szkołę ogrodniczą w gub. mińskiej), a, co najważniejsza, nader nisko stojący pod względem obyczajowym. Przez nieumiejętną gospodarkę przyczynił on ogrodowi przynajmniej z 10 tysięcy rubli szkody, co mu nie psuje opinii u władz, gdyż stoi po za nim protekcya sfer policyjnych i duchownych, naturalnie prawosławnych. Protekcya ta pozwala mu nawet na bezkarne popełnianie zbrodni. Świadczy o tem smutny fakt, który tu przytaczam, jako jaskrawe oświetlenie postępowania władz wobec osobistości, wyręczających Polaków u nas w służbie publicznej.

Na wiosnę r. b. ów p. Lemiechow wynajął do robót w ogrodzie kobiety. Upodobawszy sobie jedną z nich, posłał ją do pielenia w odległym kącie ogrodu, i tam usiłował dopuścić się na niej gwałtu. Kobieta, będąca mężatką w szóstym miesiącu ciąży, broniąc się od napastnika, podległa takim fizycznym uszkodzeniom, że poroniła. Nazajutrz przyszedł mąż owej kobiety w towarzystwie władz, spisano protokół i sprawę oddano prokuratorowi. I w tym wypadku wszakże ocaliła Lemiechowa protekcya popów. Wysłano go na kuracyę do Buska, której istotnie potrzebował, a gdy wrócił do Warszawy, sprawa na podstawie świadectwa lekarza policyjnego (iż poronienie nie zaszło) była już umorzoną. Sprawa wszakże nie jest ukończona, bo mąż ofiary poszedł do wyższej instancyi, domagając się kary za usiłowanie gwałtu.

Tego właśnie zbrodniarza mianowano w szkole ogrodniczej nauczycielem wszystkich przedmiotów specyalnych, a więc: ogrodnictwa, warzywnictwa, kwiaciarstwa, szkółek drzewnych, pszczelnictwa, jedwabnictwa i t. d. Nic dziwnego, bo przecież śród naszych ogrodników nie znalezionoby pewnie człowieka z tak wszechstronną wiedzą i z takiemi kwalifikacyami moralnemi.

* * *

ARESZTOWANIA W DĄBROWIE.

Pisma górnośląskie donoszą o nowych aresztowaniach w Dąbrowie górniczej. W *Nowinach raciborskich* czytamy, że »w Hucie Bankowej aresztowano wielką liczbę robotników, z których 50 odstawiono już do więzienia piotrkowskiego. Następnie aresztowano jeszcze w dwóch po sobie następujących nocach 35 osób, między niemi także urzędników huty. Aresztowania te stoją w związku z ostatnim strejkiem, w którym kilku ludzi życie utraciło. Nędza rodzin, którym zabrano żywicieli, jest okropna, a tu jeszcze zima za pasem!«

Mówią również o znalezieniu tajnej drukarni.

Aresztowania i barbarzyńskie represye są następstwem zmowy, a raczej solidarnego wystąpienia robotników w obronie słusznych swoich praw i potrzeb. Jednocześnie w tejże Dąbrowie istnieje zmowa właścicieli kopalń, mająca na celu podniesienie ceny węgla, którego cena doszła jnż w Warszawie do 36 kopiejek za pud (około 16 kilo). Ta zmowa wyzyskiwaczy, spekulujących na obdzieranie najuboższych warstw ludności, uchodzi im bezkarnie.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

WIEC LUDOWY W POZNANIU.

O znaczeniu wiecu stronnictwa ludowego piszemy w innem miejscu, tu opiszemy tylko przebieg zebrania.

Na sali — pisze *Goniec* a więc świadek bezstronny — nie było próżnego miejsca, nawet w przedsionku tłoczyli się ciekawi. Pomimo tak licznego udziału w wiecu, obrady toczyły się spokojnie. Rozgrzani przemówieniami uczestnicy wydawali grzmiące okrzyki »niech żyje«, »brawo«, ale na jedno skinienie przewodniczącego te okrzyki natychmiast milkły.

Po zwykłem zagajeniu wiecu zabrał głos dr, R. Szymański, redaktor *Orędownika* i mówił spokojnie, dobitnie i jasno, wśród powszechnego uznania zgromadzonych. Pan Szymański streścił dzieje ostatniego pięciolecia, dzieje walki ruchu ludowego z partyą dworską czyli ugodową i odróżnił dwa okresy:

pierwszy okres trwał od wiecu Toruńskiego w wrześniu 1891 aż do 1 marca 94, to jest do deklaracyi p. ministra dr. Bossego w sejmie w sprawie nauki polskiej;

drugi okres trwał od tej deklaracyi ministra Bossego aż do znanej deklaracyi dr. Komierowskiego, wygłoszonej w parlamencie, co nastąpiło 5 lutego 1897 r.

Jak wiec Toruński był oficyalną proklamacyą polityki partyi ugodowej w r. 1891, tak deklaracya Koła parlamentarnego była oficyalną likwidacyą tejże polityki

Od lutego 1897 nastąpił nowy, trzeci okres: społeczeństwo naszo czuje się zawiedzionem, zniechęconem, rozbitem.

W takim stanie czekają nas wybory.

Wiec toruński ogłosił lojalność względem rządu i państwa w formie dotychczas u nas nieznanej. Koło parlamentarne popełniło błąd kardynalny mieszając sprawy kościelne z politycznemi i uważając rodaka arcybiskupa, jako głównego przedstawiciela polityki ugodowej. Nie rozumiejąc tradycyjnej polityki pruskiej, ugodowcy spodziewali się ulg w systemie rządowym i naturalnie spotkał ich zawód. Zawiodło się społeczeństwo nasze, ale zawiódł się i rząd pruski. »Zawód poszedł na dwie strony, a że się tak stało — to dzieło ruchu ludowego«. Rząd pruski prędko ocenił wartość stronnictwa ugodowego i znaczenie ruchu ludowego, które partya dworska usiłuje dotychczas obniżyć. W Berlinie dobrze obserwowano stosunki i zapisano sobie w pamięci:

1. że w okręgu poznańskim kandydatura partyi ugodowej przepadła przy pierwszem głosowaniu i że potrzeba było ściślejszych wyborów, żeby ją uratować,

2. że na Kujawach samo nazwisko p. Józefa Kościelskiego wystarczyło, żeby ogólną burzę wywołać, i że p. Kościelski, ten filar partyi dworskiej, już z Kujaw nie wrócił do parlamentu;

3. że w Bydgoszczy — rzecz niesłychana — po raz pierwszy został wybrany Polak posłem i to jeszcze p. Leon Czarliński, jeden z tej drobnej liczby posłów, którzy od początku zwalczali partyą ugodową, i to wybrany głównie przez energiczną agitacyą ludu polskiego;

4. że nie tylko w Poznaniu, Bydgoszczy, Inowrocławiu, Mogilnie lud szedł ławą, ale także po innych miastach, jak w Jarocinie, Gostyniu, Krobi, w Strzelnie.

Rząd pruski obserwował jeszcze inne znaki na niebie politycznem, a w tym drugim okresie były one rzeczywiście zadziwiające.

1. na Warmii po raz pierwszy wybrano posła Polaka ks. dr. Wolszlegiera;

2. na G. Śląsku wybrano przeważającą większością Polaka posła Radwańskiego, o czem dotąd nikt ani marzyć nie śmiał;

3. w Swieckiem, w Prusach Zach. łamał się lud już po czwarty raz przy wyborach do parlamentu, w okręgu, gdzie jest już tylko dwóch szlachty, zresztą lud.

W okresie tym nastąpiło takie wyrojenie się ludu polskiego, że nikt sobie z tego zjawiska sprawy zdać nie mógł.

Rząd pruski spostrzegł, że to, co w Berlinie nazywają »kwestyą polską«, kryje się rzeczywiście w ludzie polskim i że wpływy p. Kościelskiego i całej partyi ugodowej wobec takiego stanu rzeczy — równają się zeru. To też na doświadczeniach pierwszego a spostrzeżeniach drugiego okresu opierając się, rząd pruski zajął odpowiednią postawę wobec żywiołu polskiego.

Wystąpienie hakatystów, których dążności uznał rząd za uprawnione, wyjaśniło ostatecznie stosunek polityki pruskiej do ludności polskiej. Partya dworska musiała ogłosić bankructwo. Oświadczenie posła Komierowskiego było likwidacyą polityki ugodowej.

W tych dwóch okresach walki wewnętrznej i w trzecim — skombinowanej akcyi rządu z hakatystami, działalność polityczna społeczeństwa polskiego obraca się około dwóch kwestyi najdonioślejszych, któremi są:

1. stosunek społeczeństwa polskiego do władzy duchownej i duchowieństwa wogóle

2. stosunek posłów do społeczeństwa.

Stanowisko ruchu ludowego w pierwszej sprawie określa dobitnie następujący ustęp z przemówienia p. Szymańskiego:

»Ogólne stosunki polityczne są takie w tem państwie pruskiem, niemieckiem i przeważnie protestanckiem, że przy możliwie najlepszym stosunku społeczeństwa polskiego do władz duchowych i duchowieństwa zawsze będzie zachodziło mnóstwo spraw drażliwych, wywołujących — po obu stronach — niezawodnie, żale i sarkanie. Jest to nieodłączne od obopólnych stosunków. A do tego przyłącza się to, że o naszym stosunku publicznym do duchowieństwa nie decydujemy przecie ani my sami, ani też księża, ale jeszcze ktoś trzeci ma przy tem głos, a tym trzecim to władza świecka, która ma głos przeważający, a co ten głos znaczy, to wie starsze pokolenie z czasów walki kulturnej.

»Dążność, czy też żądanie, żeby w takich warunkach ludność polska swe sprawy narodowe i polityczne odawała bez wszystkiego pod decyzyą arcybiskupa, czy on jest rodak, czy nie rodak, nie da się niczem rozsądnie uzasadnić i dla narodu może kryć w sobie straszne niebezpieczeństwo.

»Powołuję się na rezolucye z marca tego roku i oświadczam, że zwolennicy ruchu ludowego nie zgodzimy się nigdy na to, żeby w sprawach politycznych, w sprawach wyborczych, społeczeństwo polskie oddawało się pod wyłączny regiment biskupów i duchowieństwa, bo niemożemy sami przykładać ręki do tego, co powszechnie nazywają — germanizacyą przez kościół.«

W walkach ostatniego pięciolecia chodziło nie o stosunek narodu naszego do rządu pruskiago, jak się wielu wydaje, ale o stosunek Kół poselskich do narodu, właściwie do wyborców.

»Że ogół interesował się więcej pierwszym stosunkiem, a drugi spuszczał z oka, mianowicie, jak on się układał pod wpływami p. Kościelskiego w Berlinie, pochodziło także ztąd, że przewódzcy partyi ugodowej mieli zawsze pełne usta obietnic; pochodziło także ztąd, że nikomu z nas ani na myśl przyjść nie mogło, żeby właśni posłowie nasi — może mimo wiedzy i woli — ale *de facto* lud w pole wywodzili i pośrednio pracowali nad osłabieniem jego narodowej siły odpornej.

»W tem leży jądro rzeczy, w tem treść walki.

»Tylko inteligencya, stojąca koło *Przeglądu poznańskiego* rozumiała to dobrze, ale pracowała — tylko artykułami. Wielu oponowało przeciw zachowaniu się posłów w parlamencie, ale i tu kończyła się opozycya — na sierdzeniu się. Nikt publicznie nie zapytał p. Kościelskiego i jego adherentów o ich kompetencyę, o prawo, na mocy którego prowadzą w Berlinie politykę dla narodu i wstrętną i szkodliwą. Jedyny ruch ludowy w Poznaniu i na prowincyi uderzył w ten punkt praktycznie; stanął na zasadzie: że poseł dla narodu nie naród dla posła — zasadę tę czynnie, a nietylko słowem przeprowadził, a przeprowadził ją z taką świadomością, z taką siłą przekonania, że gdzie swej zasady przeprowadzić nie mógł, tam solidarność łamał, ale posłom, depcącym prawa ludu, nie poddawał się.«

Była to straszna broń — przyznaje p. Szymański, nawet »przyjaciele« odwracali się od ruchu ludowego, »a jednak—dodaje z dumą — myśleliśmy i pracowali za cały naród i dla całego narodu«.

W końcu poruszył p. Szymański sprawę »bojkotu«, który ugodowcy stosowali względem ruchu ludowego. Zaprzeczenie ludowi samodzielności, »bojkotowanie« demokratycznego mieszczaństwa wystarczą do rozbicia solidarności przy wyborach.

Po p. Szymańskim rozsądnie, ale namiętnie i szorstko przemawiał p. Andrzejewski, który protestował głównie przeciw krępowaniu samodzielności politycznej mieszczaństwa i ludu, żądał jawności obrad Koła i zapowiedział, że jeżeli komitet centralny zechce popierać kandydatury »idyotów politycznych«, to ruch ludowy będzie te kandydatury wywracać.

Po tych przemówieniach uchwalono rezolucye, które już wyżej w streszczeniu przytoczyliśmy.

ZJAZD W GRUDZIĄDZU.

Członkowie Centralnego Komitetu wyborczego na Prusy Zachodnie i Warmię zebrali się wraz z delegatami powiatowymi 4 listopada, w Grudziądzu. Stawili się na zjazd delegaci tylko 17 powiatów, pozostałe powiaty nie miały przedstawicieli, ponieważ wybrane osoby umarły, wyprowadziły się do innych prowincyi lub oświadczyły, że na oznaczony termin przybyć nie mogą. Oprócz delegatów było na zjeździe kilku obywateli oraz wszyscy redaktorowie miejscowych pism polskich, z których dwaj tylko, pp. Kulerski (*Gazeta grudziądzka*) i Milski (*Gazeta gdańska*) są zarazem delegatami powiatowymi.

P. Milski postawił wniosek, że niedelegaci nie mają prawa przemawiać, a nawet nie powinni znajdować się na zgromadzeniu. Podobało się to niektórym luminarzom partyi dworskiej, ale przewodniczący, ks. Odrowski oświad-

czył, że wszyscy redaktorzy pism polskich mogą być na zgromadzeniu.

Już przy rozprawie nad wnioskiem p. Milskiego zarysowały się dwa przeciwne prądy opinii. Ma się rozumieć, zwolennicy *status quo* mieli większość w zgromadzeniu, musieli jednak poczynić pewne ustępstwa, jak to niżej zobaczymy.

Z kolei przyszedł pod obrady pierwszy wniosek Komitetu Centralnego, dotyczący kompromisów z innemi stronnictwami.

Komitet Centralny wnosi, że tam, gdzie wybór Polaka jest niepewny, kompromisy nie tylko są dozwolone, lecz zalecają się.

Wniosek ten przyjęto po dłuższych rozprawach z dodatkiem, że przy wyborach do sejmu wolno kompromisy zawierać w pierwszem, ale przy wyborach do parlamentu dopiero w drugiem, ściślejszem głosowaniu.

Przyjęto również drugi i trzeci wniosek Komitetu Centralnego, że kompromisy mogą zawierać komitety powiatowe w porozumieniu z Komitetem Centralnym i że te komitety mają obowiązek zbierania danych statystycznych o wyborach.

Najżywsze rozprawy wywołał wniosek p. Kulerskiego, który w myśl żądań, niejednokrotnie wygłaszanych w pismach ludowych, zaproponował: »powiększyć liczbę członków Komitetu Centralnego tak, aby w skład jego wchodzili przedstawiciele wszystkich stanów«.

Ks. Wolszlegier był przeciwny pomnożeniu liczby członków Komitetu ze względów praktycznych, natomiast wyraźnie zaznaczył że przedstawiciele wszystkich stanów powinni w nim zasiadać. P. Czyżewski zaznaczył, że Kaszuby nie mają wcale przedstawicieli w Komitecie Centralnym, nie mają ich również — dodał poseł Schroeder — wogóle powiaty po lewym brzegu Wisły.

Gorliwy obrońca dotychczasowych stosunków politycznych p. Milski dowodził, że ludzi niższego stanu powoływać do Komitetu nie można, bo przewróciłoby się im w głowie. On zna jednego tylko gospodarza, Franciszka Nierzwickiego z Więcków, który nie zapomniałby o tem, że jest chłopem, chociażby go do Komitetu wybrano. Komitet straciłby powagę, gdyby wybierano do niego ludzi z niższych stanów, rzemieślników i chłopów.

Mowa p. Milskiego podobała się politykom szlacheckim, mającym większość znaczną w Komitecie. Napróżno p. Kulerski dowodził, że nietylko rzemieślnicy i gospodarze ale nawet robotnicy mają dosyć oświaty i dojrzałości politycznej do brania czynnego udziału w działalności wyborczej — wniosek jego upadł. Zadecydowano poczekać, aż uświadomienie obywatelskie ludu się wzmoże, jak gdyby czynna praca polityczna nie była właśnie najkorzystniejszym warunkiem rozwoju tego uświadomienia. Po odrzuceniu wniosku p. Kulerskiego przyjęto jednak, widocznie dla załagodzenia opinii publicznej, rezolucyę pojednawczą ks. Wolszlegiera, żeby, nie pomnażając liczby członków komitetu, przy nas ępnym wyborze delegatów uwzględniano »w miarę możności«, wszystkie stany.

Nieufność do ludu wyraziła się jeszcze w rozprawach o zbieraniu funduszów, Niektórzy delegaci dowodzili, że lud zniechęca się do sprawy publicznej, gdy żądać od niego pieniędzy. Poseł Czarliński i p. Kulerski twierdzili przeciwnie, że lud nasz jest bardzo ofiarny, trzeba tylko właściwie przemówić do jego przekonania i powierzyć zbieranie składek osobom, którym ufa.

Z uchwał zjazdu trzy zasługują na szczególną uwagę i świadczą, bądź co bądź, o pewnym postępie politycznym, a raczej o ustępstwach dla opinii publicznej.

1. Komitety powiatowe przynajmniej raz na rok, po każdej kadencyi, powinny zwoływać wiec i poprosić swego lub innego posła, (jeżeli powiat nie ma przedstawiciela Polaka), o zdanie sprawy z czynności poselskich.

2. Agitacyę wyborczą należy rozpocząć natychmiast, pozostawiając komitetom powiatowym sprawę tworzenia komitetów parafialnych.

3. Przedstawiciele pism katolicko-polskich mają na zjeździe delegatów głos doradczy.

Oprócz powyższych zapadła jeszcze ważna uchwała w sprawie rozszerzenia agitacyi wyborczej i władzy Komitetu Centralnego na powiaty bytowski i lęborski na Pomorzu zachodniem (Pomerania).

KLĘSKA W GNIEZNIE.

Gniezno więcej może niż Poznań zachwało charakter narodowy, na oko przynajmniej wydaje się, że żywioł polski jest panującym w tej starej stolicy naszej. W radzie miejskiej jednak Polacy byli w mniejszości, mieli bowiem tylko 6 radnych. Dotychczas wybory odbywały się na zasadzie kompromisu, wybierano w równej liczbie Niemców ewangielików, Żydów i Polaków. Obecnie przy odnowieniu trzeciej części rady na wspólnem zebraniu wyborców uchwalono wybór dotychczasowych kandydatów, ale mniejszość niemiecka zaprotestowała przeciw kompromisowi, dowodząc, że w »niemieckiem Gnieznie« tylko Niemcy zasiadać powinni w radzie miejskiej. Ta mniejszość, do której należeli przeważnie urzędnicy i nauczycieli gimnazyalni, przeciągnęła na swoją stronę znaczną części Żydów, zaliczających się w sprawach politycznych przeważnie do stronictwa wolnomyślnego — i zwyciężyła przy wyborach. Kandydaci polscy przepadli nawet w III klasie, chociaż jest w niej wyborców Polaków 376 a Niemców i Żydów niespełna 500, a niektórzy przecie głosowali na naszych radnych. Sądząc z liczby oddanych głosów, bardzo wielu Polaków nie spełniło obowiązku obywatelskiego i bodaj słusznie *Orędownik* wnioskuje, że porażka jest właśnie skutkiem kompromisu, na który gdyby Polacy nie liczyli, mogliby w III klasie zwyciężyć.

W II i I klasie Polacy, zrażeni porażką, wcale nie głosowali, zapominając, że »w sprawach publicznych nie tylko zwycięztwa odnosić, ale i klęski ponosić jest obowiązkiem obywatelskim«. Zachowanie się Żydów w Gnieznie, należących, jak zaznaczyliśmy, w znacznej większości do stronictwa wolnomyślnego, jest ostrzeżeniem. że i w kompromisie politycznym należy zachować wielką ostrożność i liczyć przy wyborach przedewszystkiem na własne siły.

Podczas wyborów w Gnieznie nauczyciele Polacy pod naciskiem władzy głosowali na kandydatów niemieckich. Zamiast czepiać się tych biedaków, drżących o kawałek chleba, należałoby raczej potępić tych prawdziwych winowajców, klęski, którzy lekomyślnie kompromisowi zaufali. Gdyby poruszono wyborców III klasy, gdyby uświadomiono im ich obowiązki obywatelskie, wybory wypadłyby inaczej i kompromis zapewne nie byłby zerwany.

NOWY FUNDUSZ KOLONIZACYJNY.

Pisma hakatystowskie donoszą, że sejmowi pruskiemu przedłożony będzie wniosek rządowy o uchwalenie nowych 100 milionów marek na kolonizacyę niemiecką w prowincyach polskich. Dawniejszy fundusz już sie w $^{3}/_{4}$ wyczerpał, skład zaś przyszłego sejmu pruskiego może się mocno zmienić, rząd więc i zwolennicy akcyi kolonizacyjnej muszą się spieszyć.

Organ barona Stumma, gazeta „*Post*“ pisze jako o rzeczy już postanowionej, że komisya jeneralna ma być zniesioną, a utworzoną osobna instytucya kolonizacyjna.

Pierwsza bowiem, nie mogąc wykluczyć Polaków od nabywania na własność dóbr rentowych i niszcząc działanie istniejącej komisyi kolonizacyjnej, dopomaga jedynie do rozrostu żywiołu polskiego w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zachodnich.

Gazety wolnomyślne i katolickie dowodzą, że dotychczasowa działalność komisyi kolonizacyjnej nie dała retatów pomyślnych dla rozwoju niemczyzny na kresach wschodnich. *Vossische Zeitung* twierdzi nawet, że fundusz 100 milionowy przyczynił się pośrednio do wzmocnienia żywiołu polskiego. Niektóre nieprzychylne Polakom dzienniki, jak *Berliner Tageblatt i Freisinnige Zeitung*, wypowiadają zdanie, że działalność komisyi kolonizacyjnej chybiła celu.

Pomimo to jednak, projekt uchwalenia nowego funduszu znalazby z pewnością w sejmie pruskim większość i łatwiej nawet dziś, niż przed 11 laty. Wówczas nawet wśród konserwatystów byli ludzie jak Reichensperger, którzy pomysł utworzenia komisyi kolonizacyjnej nazywali głośno »nikczemnością«. Dziś takich nie ma, ba nawet część wolnomyślnych, z Rickertem na czele, prawdopodobnie głosować będzie za projektem rządowym. Przed 11 laty Miquel dopomógł Bismarkowi w utworzeniu potrzebnej większości teraz, ten sam Miquel zajmuje stanowisko wpływowe w rządzie, jest zaufanym doradcą cesarza.

Nieraz już się zdarzyło, że pisma hakatystowskie zaczynały agitacyę uprzedzającą wystąpienie rządu, przygotowującą opinię publiczną. I w tym wypadku projekty dziennikarskie wydają się zapowiedzią projektów rządowych.

Uchwalenie nowego funduszu na kolonizacyę będzie niewątpliwie zamachem groźnym na narodowość naszą, ale wielkiej klęski nie sprawi, jeżeli wzmocni naszą świadomość i odporność narodową. Rozumieją to hakatyści i wysuwają inny jeszcze projekt — zabronienia Polakom kupowania ziemi od Niemców. Taki zakaz, skopiowany z ukazów rządu rosyjskiego, sprzeciwia się wprawdzie konstytucyi i jawnie gwałci równouprawnienie obywatelskie, ale reakcyoniści pruscy coraz jawniej dążą do obalenia lub przynajmniej ograniczenia wolności konstytucyjnej.

W przyszłowie weszła robota *pour le roi de Prusse*, w danym wypadku rząd i reakcyoniści pruscy pracują dla polityki rosyjskiej, o czem nie zawadziłoby częściej opinii publicznej niemieckiej przypominać w sposób właściwy.

W SPRAWIE NABOŻEŃSTW POLSKICH.

Za przykładem ks. kardynała Koppa biskup chełmiński Redner zamieścił w czeskich *Katolickich listach* uroczystą deklaracyę odpierającą zarzut popierania propagandy niemieckiej w kościele. Deklaracyę przesłał dziennikowi czeskiemu jeneralny wikaryat biskupi w Pełplinie, brzmi ona jak następuje:

1) Nieprawdą jest, że nasz najprzewielebniejszy ks. biskup rozporządził, aby w parafiach, w których mieszkają także niemieccy katolicy, tylko w niemieckim języku wygłaszano kazania; dalej:

2) nieprawdą jest także, że jeden jedyny katolik niemiecki wystarczy do zniemczenia katolickiego kościoła. Przeciwnie:

3) prawdą jest, że tam, gdzie okazała się potrzeba kazań niemieckich, za każdym razem rozporządzono, aby dla niemieckiego kazania nigdy nie usuwało się polskiego.

O prawdomówności wikaryatu biskupiego świadczy następujący fakt, świeżo opisany w gazetach polskich:

»Naczelny prezes na podstawie »berychtu« landrata kartuzkiego z dnia 17. Maja 1894 doniósł ks. biskupowi Rednerowi, że pomiędzy katolikami mówiącymi i rozumiejącymi po niemiecku w Sulęczynie, powstało pragnienie regularnych kazań niemieckich. Na 2295 parafian, tak mówi dalej pismo naczelnego prezesa, rozumie po niemiecku 1526, a reszta tylko rozumie po polsku. I ta reszta nie rozumie (!), ponieważ mówi tylko po kaszubsku, Dalej twierdzi pismo naczelnego prezesa, że wielka część przychodzących do kościoła wychodzi przed polskiem kazaniem i napełnia karczmę (!). Dlatego zaprowadzenie niemieckich kazań jest tam naglącą potrzebą, Na to zażądała natychmiast władza biskupia wyjaśnienia od ks. dziek. Łabuńskiego, o ile w tem wszystkiem prawdy. Zażądano także od ks. dziekana spisu osób, mówiących po niemiecku i wykazało się, że jest ich razem 16. Z tych 16 tylko dziesięciu regularnie przychodziło do kościoła, a przed kazaniem wychodzili. Według wykazu z roku 1894 liczyła parafia sulęczyńska nie 2295 dusz, ale 3321 (w roku bieżącym liczy 3349 dusz). Na zarzut, jakoby parafianie, po polsku nie rozumiejący, wychodzili przed kazaniem z kościoła i napełniali karczmy, wysłał ks. dziek. Łabuński do władzy biskupiej świadectwa karczmarzy, iż powyższe twierdzenia są ohydnem kłamstwem. Dnia 3 lipca roku 1894 nadszedł rozkaz od biskupa, aby dla tych 10 Niemców katolików co drugie święto odbywało się obok polskiego także niemieckie kazanie!«

Nowiny raciborskie, przytaczając oświadczenie wikaryatu biskupiego w Pełplinie ironicznie zaznaczają:

»Z tego wnosićby należało, że prośby Polaków katolików w Gdańsku zostały nareszcie wysłuchane i że mają teraz co chcieli, polskie kazania do syta i mogą śpiewać po polsku w kościołach. Dziwno tylko, że *Gazeta Gdańska* nic a nic o tem dotąd nie wspomniała.«

Dotychczas zarówno ks. Redner, jak ks. Kopp nie raczyli odpowiadać na zarzuty prasy polskiej, dopiero gdy ich działalność germanizacyjna nabrała takiego rozgłosu, że zaczęły o niej pisać zagraniczne dzienniki katolickie, zdobyli się na odpowiedź wykrętną i kłamliwą. Ta spóźniona obrona swego postępowania zaszkodziła im raczej niż pomogła w oczach ludności katolickiej polskiej, która przecie wie dobrze, jak przedstawiają się w rzeczywistości stosunki kościelne w Prusiech Zachodnich i na Śląsku.

PROTEST HAKATYSTY.

W numerze 20 naszego pisma zamieściliśmy nadesłaną nam z Prus Zachodnich wiadomość, że niejaki Ventzki, właściciel wielkiej fabryki maszyn rolniczych, zbywającej swe wyroby głównie w Galicyi i w Królestwie, jest jednym z głównych akcyonaryuszów *Geselligera* grudziądzkiego i gorliwym członkiem bractwa H. K. T. Obecnie p. Ventzki ogłosił w *Słowie* warszawskim list, w którym pisze, że, przebywszy do Królestwa na konkurs maszyn rolniczych, dowiedział się od dotychczasowych swoich odbiorców o rzuconej na niego potwarzy. Widocznie wzmianka w naszem piśmie musiała trochę p. Ventzkiemu w interesach zaszkodzić, bo zaręcza, że hakatystą nie jest i żywi dla Polaków przyjazne uczucia. Ponieważ bractwo H. K. T. nazwisk swoich członków nie ogłasza, trudno dowieść że p. Ventzki do niego należy. Ale natomiast łatwo wykazać, że jest jednym z wydawców *Geselligera*, co na jedno wychodzi. Warto jeszcze zaznaczyć, że p. Ventzki należenie do związku hakatystów nazywa w liście swoim »infamią«. Widocznie pieniądze polskie tak są miłe tego rodzaju patryotom niemieckim, że gotowi są dla nich wyprzeć się nawet swoich zasad. Ciekawiśmy tylko: czy bractwo H. K. T. wybaczy p. Ventzkiemu tę »infamię«, która mu się pod pióro nasunęła.

Z GALICYI.

PANAMA KRAKOWSKA.

Opinia publiczna zajmuje się ciągle żywo skandalicznemi zajściami w krakowskiem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń. Naturalnym porządkiem rzeczy mniej się już mówi i pisze o kwotach sprzeniewierzonych i o Czesławie Kieszkowskim, »z miejsca pobytu nieznanym«, interesowany ogół sięga obecnie głębiej i szuka istotnych źródeł zła, pyta o sposób pokrycia strat, złodziejstwami wyrządzonych, żąda wreszcie stanowczej naprawy stosunków na przyszłość.

Co do pierwszego pytania: w czem tkwi zło zasadnicze — w całym kraju nie ma chyba dwóch zdań. Winien jest przedewszystkiem korupcyjny system szlacheckiego nepotyzmu i ludzie, którzy doprowadzili go we Floryance do niebywałej doskonałości. To rak, który instytucyę toczył oddawna. Dzięki temu systemowi wyrosło w Towarzystwie »możnowładztwo familii«, żadnej nie znoszące kontroli. Ktoś obliczył, że w Floryance »pracuje« obecnie ni mniej ni więcej tylko 73 bliższych i dalszych krewniaków rodziny Kieszkowskich, ludzi, którzy przeważnie nie pokończyli nawet szkół średnich. Szczegół ten starczy za najwymowniejszą odpowiedź na powyższe pytanie.

System jednak jest winowajcą nieuchwytnym, natomiast odpowiedzialność realna ciąży na jego przedstawicielach, na tych, którzy go wprowadzili i uprawiali, bądź tolerowali bez protestu, a takich winowajców znajdzie się w Towarzystwie sporo, zarówno na stanowiskach dyrektorów, jak i w radzie nadzorczej. Zwyczajna więc logika powiada, że skoro ma być podjęta jakaś akcya poważna, do uzdrowienia stosunków zmierzająca, to początkiem jej i punktem wyjścia winno być bezwzględne złamanie dotychczasowego systemu i radykalne oczyszczenie instytucyi z wszelkich żywiołów zgnilizny.

Niestety, jak słychać, na to się nie zanosi, a tak z zachowania się większości prasy, jak i z przebiegu publicznych zgromadzeń, odbytych dotąd we Lwowie i Krakowie, wnosićby można, że skończy się na krzyku i będzie „*jak bywało*“. Stańczykowstwo, któremu oczywiście w własnym interesie najwięcej zależy na niedopuszczeniu do żadnych zmian głębiej sięgających, usiłuje znieczulić wrażliwość społeczeństwa sofistycznem twierdzeniem, że wszelkie objawy nieufności do osób, w zarządzie Towarzystwa zasiadających, szkodzą samej instytucyi i podkopią powagę jej do reszty. Trutka podziałała. Na zgromadzeniach wspomnianych rozlegały się przeróżne skargi i narzekania, natomiast nie odezwał się dotąd ani jeden głos cywilnej odwagi, któryby jasno i dobitnie zażądał wyrażenia nieufności osobom, co popierając system, sprzyjający złodziejstwom, pośrednio były wspólnikami zbrodni i na niewątpliwą szkodę instytucyi działały.

A wszakże rezolucye, w tym duchu powzięte, miałyby o wiele donioślejsze znaczenie, niż wybór komitetów, które mają rzekomo bronić interesu członków, w rzeczywistości zaś są zupełnie niepotrzebne i bezsilne, bo same nic zdziałać nie potrafią.

Nieprawdą jest, że nieufność do pewnych osób i co za tem idzie usunięcie ich, może zaszkodzić instytucyi. Przeciwnie, jestto naszem zdaniem jedyny środek ratowania Towarzystwa od nieuchronnego upadku. Tymbardziej, że nieufność ta zwraca się nie do wszystkich. Opinia publiczna palcem wytyka tylko takich dyrektorów, jak Scipio i Słonecki, takich członków rady nadzorczej jak owi znani protektorowie »familii«, zostawia zaś w zupełnym spokoju Romerów, Głażewskich, Gniewoszów, co więcej, *jedynie ich* darzy zaufaniem, bo dowiedli czystości rąk, męzkości charakteru i odwagi zajrzenia złemu w oczy. Sprawiedliwość nakazuje przyznać, co komu należy, ale ta sama sprawiedliwość, a wraz z nią istotny wzgląd na dobro instytucyi wymaga największej bezwzględności wobec osób, które ją zniesławiają. Uczciwej prasy obowiązkiem przeciwdziałać intrygom lokajów dziennikarskich, którzy, stając w obronie swych służbodawców, tumanią poczciwy ogół twierdzeniem o wspólności interesów osobistych i Towarzystwa. Intrygi takie nie są bajką. W Krakowie pewne sfery dokładają starań, aby dymisye dyrektorów Słoneckiego i Scipiona (obaj złożyli swe godności pod naciskiem opinii publicznej) nie zostały przez radę nadzorczą przyjęte. Kto wie, czy te same sfery nie przyczyniły się również do nieuchwalenia wotów nieufności dla tychże dyrektorów i prezesa rady nadzorczej na zgromadzeniach lwowskiem i krakowskiem. Zobaczymy, jakie uchwały poweźmie ostatecznie pełna rada nadzorcza zbierająca się przy końcu b. m. Jeśli większość jej dba naprawdę o instytucyę jako taką, to powinna odłożyć na bok wszelkie względy osobistej przyjaźni, koleżeństwa, sympatyi, a głucha na podszepty pańskich intrygantów powinna rozprawić się bezwzględnie i stanowczo z dotychczasowym systemem i z jego filarami. Tego żąda od niej sumienie publiczne. Tylko w ten sposób wróci się Towarzystwu powaga i ów kredyt moralny, jaki mu w pierwszych czasach nadali założyciele. Wszelkie natomiast połowiczne środki, wszelka względność podkopią jeno głębiej jeszcze i tak już mocno zarysowaną budowę. Słusznie powiedział w Krakowie delegat rady nadzorczej, że od materyalnych o wiele dotkliwsze są straty moralne. Naprawienia tych ostatnich w pierwszym rzędzie wyczekuje od rady nadzorczej kraj cały.

SPÓR O MORSKIE OKO.

Niezmordowany w staraniach o sprawiedliwe załatwienie sprawy Morskiego Oka, przyjaciel nasz p. Franciszek Huber, nadesłał nam świeżo z Budapesztu opis rozmowy, jaką przeprowadził niedawno w tej sprawie z osobistością, której głos i zdanie zasługują na baczną uwagę nietylko dlatego, że pochodzą od jednej z najwybitniejszych obecnie postaci urzędowych Węgier, ale i z tego powodu, że mogą w chwili decydującej zaważyć silnie na szali i wywrzeć nawet wpływ bezpośredni na ostateczne rozstrzygnięcie sporu.

Nie wymieniając ze względów dyskrecyonalnych nazwiska tej osoby, ograniczamy się na razie podaniem główniejszych szczegółów, o które w rozmowie potrącono.

W lipcu jeszcze b. r. zjechali się obaj wyznaczeni już sędziowie rozjemczy w Wiedniu i po wspólnej naradzie, ułożywszy listę kilku kandydatów (do wyboru) na trzeciego sędzię jako superarbitra, zakomunikowali ją swoim rządom. Chodzi więc o tego trzeciego, który wszakże dotąd nie został jeszcze wybrany. Gdy to nastąpi, spodziewać się można rychłego ukończenia sprawy. Największa trudność właśnie w wyszukaniu odpowiedniego prezesa sądu. Ma nim być cudzoziemiec, oczywista prawnik, może coś w rodzaju dyplomaty. Musi jednak władać dobrze językiem niemieckim, a ponieważ nie można takiego znaleźć we Włoszech, Francyi ani Anglii, przeto zdaniem obu sędziów, dwa tylko państwa mogłyby dać superarbitra, t. j. Szwajcarya albo Niemcy.

Jeżeli przyszły superarbiter — oświadczył Węgier — misyę swą spełni bezstronnie, to Polacy niewątpliwie wygrają. O jednem wszakże trzeba pamiętać: ów prezes sądu obejmie swój urząd za zezwoleniem rządu swojego, może więc już przez to samo być zależnym od instrukcyj, w tym lub owym kierunku poufnie mu udzielonych z góry. Obawa wcale nie płonna w razie, gdyby wybór padł na

Niemca z Rzeszy. Mogą mu delikatnie dać do zrozumienia, że powinien liczyć się z faktem, iż ks. Hohenlohe, bezpośrednio interesowany w sporze, jest krewnym kanclerza niemieckiego. W takim razie zwycięztwo Polaków byłoby wątpliwe. Szwajcarski sędzia przedstawiałby bezwarunkowo większą rękojmię bezstronności.

Ale i ta ewentualność nie jest wykluczoną, że w ogóle superarbiter się nie znajdzie, bo spór jest dość drażliwy, a amatorów do rozsądzenia go mało. Co wówczas? Czy *status quo* miałby się utrzymać nadal? »Nie sądzę, odparł Węgier, gdyż Bogiem a prawdą obaj wyznaczeni sędziowie mogliby dziś już bez trzeciego wydać zgodnie wyrok sprawiedliwy. Tak czy owak, z naszej (węgierskiej) strony skłonność do ustępstw jest niewątpliwa, choć dzienniki piszą inaczej. Wiemy, że za słusznością żądań Polaków przemawia i większa moc przytaczanych argumentów i sama konfiguracya spornego terytoryum, podczas gdy dla nas ono żadnej w istocie nie ma wartości. Do rozpaczliwej walki z pewnością nie przyjdzie«... P. Huber zwrócił w końcu uwagę swego interlokutora na znaczne oziębienie stosunków polsko-węgierskich, wywołane w ostatnich czasach sprawą Morskiego Oka, a zwłaszcza zaborczem postępowaniem prasy zalitawskiej. Węgra zastanowiło to mocno. »Wierz mi Pan, odrzekł po chwili, że żywimy w sercach naszych szczerą sympatyę dla Polski i niema między nami człowieka, którzyby chciał krzywdę wyrządzić Polakom... W obecnym sporze jedna strona uledz musi, jeśli to na nas padnie, poddamy się spokojnie wyrokowi, zapewniam Pana jednak, że z powodu takiej bagateli nie zmienimy ani na chwilę uczuć naszych dla sąsiedniego narodu«...

Z powyższej rozmowy moglibyśmy nabrać otuchy przynajmniej pod tym względem, że ze strony węgierskiej nie będzie wielkiego upierania się przy niesłusznych żądaniach. Należałoby jednak wywrzeć na sfery decydujące nacisk, aby działały z większym pośpiechem i nie przewlekały sporu w nieskończoność.

ZAPĘDY GERMANIZACYJNE.

Czy uwierzyłby kto, że możliwem jest, aby w Galicyi, pod okiem polskiej rady szkolnej krajowej zmuszano dziatwę polskę do uczenia się religii w języku niemieckim i z katechizmów niemieckich? A jednak nietylko możliwem, ale faktem jest, że tak się dzieje między innemi w korzystającej z prawa publiczności szkole ludowej, założonej przez znany *Schulverein* w Lipniku pod Białą. Gdyby to była szkoła prywatna, wyłącznie dla dziatwy niemieckiej przeznaczona, możnaby się nie wtrącać w jej sprawy wewnętrzne, ale, jak wiadomo, uczęszczają do niej w przeważającej większości dzieci ludu polskiego, włościan i robotników, co dostatecznie chyba uzasadnia potrzebę ścisłego nadzoru krajowych władz szkolnych.

Germanizacya szkolna odbywa się wogóle na wielką skalę w graniczących ze Śląskiem powiatach galicyjskich, bez najmniejszej przeszkody ze strony powołanych czynników. Mimowoli nasuwa się porównanie między położeniem ludu naszego na Śląsku a garstki Niemców w Galicyi. Tam lud, będący u siebie w domu, kilkakroć liczniejszy od żywiołów obcych, musi należne sobie prawa krwawo wywalczać i najdrobniejsze zdobycze ciężkiemi opłacać przeprawami, jak tego najwymowniejszym dowodem gimnazyum cieszyńskie. Niemcy w Galicyi są gośćmi, liczba ich znikająco mała. A jednak nietylko z wszelkich praw obywatelskich i narodowościowych bez najmniejszego uszczerbku korzystają, ale z bezczelnością, na której dosadniejsze określenie brak poprostu wyrazu, uprawiają osławione swe kulturtregerstwo i w najlepsze wynaradawiają nam dziatwę. Z tych szkół galicyjsko-niemieckich wychodzą rozsadniki niemczyzny na całą Żywiecczyznę i w drugą stronę aż ku Wadowicom, Oświęcimowi, nawet po Kraków. Radzie szkolnej krajowej zapewne fakty te wiadome, nie słyszeliśmy jednak dotąd o jakichkolwiek próbach wypleniania tych chwastów. Posłowie ludowi powinni sprawę tę poruszyć w nadchodzącej sesyi sejmowej.

CIEKAWY REGULAMIN.

Klub stojałowczyków uchwalił jeszcze w maju regulamin dla swoich członków, który teraz dopiero częściowo został ogłoszony z powodu sprawy Szajera. Ten »poseł ludu«, pijany jak bela, przyszedł na zebranie robotnicze, plótł tam trzy po trzy i naraził się na drwiny i obelgi ze strony socyalistów wiedeńskich.

Zapewne ks. Stojałowski znał dobrze wartość moralną i umysłową swoich »oficerów« i wogóle podkomendnych, skoro ułożył dla nich statut, którego § 13 głosi:

»Członkowie klubu obowiązani będą przestrzegać godności poselskiej, pomnąc, że są przedstawicielami, a zarazem stróżami honoru ludu polskiego; zarazem nie będą bywać w lokalach, które znane są z burd i pijatyki, wszędzie też zachowają odpowiednią swej wysokiej godności przyzwoitość, unikając starć zwłaszcza z obcymi, kłótni lub innego wybryku; nie będzie też żaden przyjmował traktamentów, zwłaszcza od ludzi uboższych. Z tego samego powodu członkowie klubu, przedstawiając krzywdy ludu i inne stosunki w Galicyi, unikać będą tego, aby nie poniewierali godności narodowej.«

Ciekawy ten statut przypomina »reglament« dla dyplomatów rosyjskich, w którym Piotr Wielki zaleca im, żeby nie łapali potraw z półmisków rękami, nie używali serwet zamiast chustek do nosa. Ma się rozumieć, ludzie, którym trzeba dopiero zakazywać, »przyjmowania traktamentów, zwłaszcza od uboższych« nie mogą być »stróżami honoru ludu polskiego,« ale tacy ludzie i tylko tacy słuchać będą pokornie komendy księdza-redaktora i jego oficerów, podlegających zresztą temu samemu regulaminowi.

Z KRESÓW.

RUCH LUDOWY NA MAZOWSZU PRUSKIEM.

Wiec ludowy mazurski, zwołany do Ełku na 8 listopada, nie mógł się odbyć, ponieważ właściciel sali w ostatniej chwili, pod naciskiem władz pruskich oświadczył, że nie puści ludzi do swego lokalu na zebranie. Wówczas p. Bahrke zwołał zebranie do lokalu redakcyjnego, a gdy i na nie policya nie pozwoliła, pod pozorem że nie ma dla tylu osób dostatecznego miejsca, zaprosił kilkadziesiąt osób do swego mieszkania »na pogawędkę i kufelek piwa«. Ale i na to zebranie przybyła policya i licznie zgromadzonym Mazurom, którzy spokojnie naradzali się nad sprawą wyborów, kazała się rozejść. Samowola policyi wywołała wśród ludu wielkie oburzenie i tak podnieciła Mazurów, że nietylko w okręgu łeckim ale i w szczycieńsko-jańsborskim zamierzają stawić własnego kandydata.

Naturalnie, ani p. Bahrke, ani członkowie tworzącego się »stronnictwa ludowego mazurskiego« nie dają za wygranę i odwołają się do władz wyższych, a gdyby to nie pomogło, postarają się o poruszenie sprawy w sejmie i parlamencie.

Konserwatyści pruscy, którzy dotychczas wszechwładnie na Mazowszu panowali, zrozumieli, że ich mandaty są poważnie zagrożone. W okręgu wyborczym łeckim (Ełk) ludność mazurska stanowi: w powiecie łeckim 75%, jańsborskim 83% i oleckim 50% ogółu mieszkańców. W innych okręgach ludność polska stanowi również

większość, np. w sądzborskim i szczytnickim, które tworzą jeden okręg wyborczy — 70 i 80%; w ostródzkim i nidborskim, które wybierają razem posła — 50 i 80%. Te cyfry podają pisma niemieckie, w rzeczywistości zaś procent ludności mazurskiej jest wyższym.

P. Bahrke jest, sądząc z jego artykułów w *Gazecie ludowej*, wybornym agitatorem. Nie kładzie on zbyt wielkiego nacisku na polityczną, właściwie narodową stronę ruchu ludowego, ale skutecznie zwalcza konserwatystów pruskich na gruncie spraw społecznych i ekonomicznych. »Podatek na śledzie«, za którym oświadczyli się konserwatyści, jest widocznie bardzo ważnem hasłem agitacyi wyborczej, bo *Gazeta ludowa* drukuje te wyrazy wielkiemi literami. Podrożenie biletów kolejowych, którego domagają się konserwatyści dla zapobieżenia wychodztwu zarobkowemu ludu, zręcznie wyzyskuje *Gazeta ludowa* dla swego celu.

Chociażby Mazurom nie udało się wybrać swoich posłów, agitacya wyborcza nie pozostanie bez pożytku. Rozbudzony ruch ludowy będzie się rozszerzał i pogłębiał swoje zadania. Rozumieją to Niemcy i w zarodku starają się go stłumić, ale sami nie wierzą w pomyślny dla nich skutek działalności represyjnej. Może zachowają na czas jakiś, na najbliższy okres wyborczy mandaty, ale ruchu narodowego, mającego charakter żywiołowy, nie powstrzymają.

LITWINI PRUSCY.

Za przykładem Mazurów ruszają się Litwini pruscy i na odbytem niedawno zebraniu postanowili przy wyborach przyszłorocznych postawić własnych kandydatów, ponieważ żadne stronnictwo niemieckie nie chce wystąpić w obronie praw języka litewskiego w szkole i w kościele. Litwini spodziewają się zwycięztwa w kilku okręgach wyborczych, tam zaś, gdzie nie mają nadziei przeprowadzić własnego kandydata, postanowili popierać kandydatów tego stronnictwa, które najenergiczniej broni praw ludu, a więc zapewne wolnomyślnych. Dotychczas wybierali zachowawców i jedyny poseł pochodzenia litewskiego należał do tego stronnictwa.

W Prusiech Wschodnich mieszka około 150.000 Litwinów, niemal wyłącznie protestantów, mają oni dosyć liczne towarzystwa i pisma, ale pod względem politycznym nie zdradzali dotychczas żadnej samodzielności. »Zwrot na lewo«, który obecnie wykonali, jest dla Niemców przykrą niespodzianką.

WYKAZANIE KŁAMSTW URZĘDOWYCH.

W znanym wyroku najwyższego trybunału administracyjnego, w ostatecznym wyniku korzystnym dla nas, znajduje się następujący ustęp, poświęcony »agitacyi wielkopolskiej« a oparty na doniesieniach landrata tarnowickiego, prezesa regencyi opolskiej i komisarza rządowego, przedstawiciela na sprawie ministeryum spraw wewnętrznych.

»Nie raz już uznał sąd administracyjny w nowszych wyrokach jako rzecz znaną (notoryczną), że w dawniejszych polskich częściach monarchii pruskiej istnieje »partya czynu«, której celem jest owe części kraju, jeżeli nie całkiem od Prus oderwać, to przynajmniej ich prawno-państwowe stanowisko tak zmienić, że przez to konstytucyjnie istniejący porządek państwa i cesarstwa w swych podstawach całkiem ma być zmieniony. Ten narodowo-polski ruch, któremu o to chodzi, aby obywateli polskiej narodowości w świadome przeciwieństwo do niemczyzny postawić, wzrasta ciągle i rozszerza się, mianowicie zaś przez działanie w licznych związkach i zebraniach jest pielęgnowany i podsycany. Wobec tych usiłowań władze policyjne mają obowiązek, z policyjnych względów bezpieczeństwa, korzystać skutecznie z przysługującego im prawa dozorowania, w pierwszym rzędzie w takim przypadku, jak niniejszy, gdzie w obwodzie rejencyi opolskiej, w szczególności w okolicy Wieszowy, wielkopolskie dążności przez znanych agitatorów systematycznie na zebraniach bywają ujawniane. Z drugiej strony władza policyjna nie miała urzędników, którzyby po polsku umieli. Wprawdzie władze mają polecenie, ażeby ile możności zaopatrzyły się w urzędników, władających językiem ojczystym ludności miejscowej, lecz w Wieszowie nie było tego potrzeba, ponieważ tamtejsza ludność w ogólności umie po niemiecku i dopóki tam wielkopolskiej agitacyi nie wniesiono, nie zachodziła tego rodzaju potrzeba. Osób zaufania pochodzenia niemieckiego, któreby językiem polskim dostatecznie władały, także nie było, osoby zaś polskiej narodowości w istniejących warunkach do dozorowania się nie nadawały. Należy też uwzględnić, że od r. 1876 znajomość niemieckiego języka wszędzie się rozszerzyła, jako też, że już od roku 1886 nie robi się żadnego użytku z uprawnienia, przewidzianego w ustawie językowej z 28 sierpnia 1876«.

Katolik rozbierając szczegółowo doniesienia landrata, prezesa regencyi i twierdzenia komisarza wykazuje że każda z nich jest »objektywnie nieprawdziwem«.

»Komisarz ministra spraw wewnętrznych był najśmielszy w twierdzeniach, co się tem tłómaczy, że najmniej zna stosunki nasze. Powołał się na to, że sąd już dawniej przyjął jako rzecz notoryczną iż w polskich częściach Prus istnieje partya czynu, która chce zmienić porządek państwowy. Dowodu na to jednak nie przytoczył.

»Wobec tego zaznacza *Katolik* że objektywnie nieprawdziwem jest twierdzenie, jeżeli komisarz miał to na myśli, aby tu na G. Śląsku była jakaś polska partya czynu, którąby »istniejący porządek państwa i cesarstwa w ich podstawach całkiem zmienić zamierzała«.

»Komisarz twierdzi dalej, że w obwodzie rejencyi opolskiej, szczególnie w okolicy Wieszowy, uprawiają wielkopolską agitacyę systematycznie znani agitatorzy na zebraniach.

»To twierdzenie jest objektywnie nieprawdziwe. Nic nie wiemy o tem, aby szczególnie koło Wieszowy agitatorzy agitowali. Ale to wiemy, że tam polskiej agitacyi nie potrzeba, gdyż tam nieomal wszystek lud polski.

»Nakoniec powtarza komisarz twierdzenie prezesa rejencyi, że w Wieszowie ludność w ogólności umie po niemiecku, i że tam nie było potrzeba urzędników policyjnych, władających językiem miejscowej ludności, dopóki wielkopolskiej agitacyi do wsi nie wniesiono.

»Kto zna stosunki miejscowe powie razem z *Katolikiem*, że i to twierdzenie jest objektywnie nieprawdziwe«.

„POTWORNA WIADOMOŚĆ“.

Tak nazwały niektóre dzienniki nasze ma się rozumieć, zachowawcze, podaną w którem ś z miejscowych pism polskich wzmiankę, donoszącą, że kardynał Kopp pozwolił gminie ewangelickiej użytkować z kościoła katolickiego zanim kościół protestancki będzie odrestaurowany. Wyznajemy, że i nam ta wiadomość wydała się nieprawdopodobną i dla tego nie powtórzyliśmy jej, chociaż już przed kilkoma tygodniami wspominały o tym fakcie pisma niezależne. Obecnie stwierdzono, że »potworna wiadomość« jest zupełnie prawdziwą. Kardynał Kopp oddał istotnie protestantom kościół dawniej klasztorny, wskutek prośby gminy ewangelickiej, doręczonej biskupowi wrocławskiemu przez — proboszcza katolickiego w Reichenbachu, ma się rozumieć, Niemca.

Po stwierdzeniu tego faktu nie wydaje się już nam nieprawdopodobną druga wiadomość o działalności paster-

skiej ks. Koppa, którą podaje *Głos ludu śląskiego*, zaręczając za jej wiarogodność. Na pogrzebie ks. Findińskiego, generalnego wikaryusza w Cieszynie, dowiedzieli się księża Polacy i Czesi o okólniku biskupa wrocławskiego, nakazującym duchowieństwu, żeby skłaniało parafian do spowiadania się w języku niemieckiem. Generalny wikaryusz nie zdążył czy też nie chciał rozesłać tego okólnika i wskutek jego śmierci sprawa poszła w odwłokę.

Okólnik jednak istnieje i świadczy, że kardynał biskup wrocławski jest życzliwszym dla protestantów Niemców, niż dla katolików, mówiących po polsku. Nie wiadomości o postępowaniu ks. Koppa, ale jego czyny są istotnie potworne, jak zaś nazwać pobłażliwość Rzymu dla tych niewątpliwie potwornych wybryków germanizacyi kościelnej, pozostawiamy to bieglejszym w podobnych sprawach obrońcom duchownym biskupa wrocławskiego.

SZKOLNICTWO W CZERNIOWCACH.

Ludność stolicy Bukowiny, wynosząca z górą 54.000 dusz, składa się z 17.359 Żydów, 10.384 Rusinów, 9.833 Niemców, 7.624 Rumunów i 7.610 Polaków. Ponieważ zaś Żydzi przyznają się tam przeważnie do narodowości niemieckiej, przeto w wykazach urzędowych oba te żywioły figurują zazwyczaj pod wspólnem mianem Niemców w liczbie 27.192. Otóż ciekawą jest rzeczą dowiedzieć się, jaki udział w szkolnictwie bierze każdy z powyższych żywiołów narodowych.

Zacznijmy od szkół ludowych. Według obliczeń urzędowych było w ubiegłym roku dzieci, obowiązanych do nauki szkolnej, ogółem 8.963, uczęszczało zaś faktycznie tylko 5206. Według zgłoszonej narodowości zachodził stosunek taki, że w jedenastu szkołach publicznych miejskich (oprócz nich istnieją jeszcze cztery prywatne z prawem publiczności) było

	obowiązanych	uczęszczało
Niemców	4.805	2.214
Rumunów	1.655	862
Rusinów	1.445	1.089
Polaków	1.014	1.016

Z cyfr powyższych wynika przedewszystkiem, że stosunkowo najliczniej garną się do szkół Polacy. Chcąc jednak ocenić stosunki szkolne w samem mieście Czerniowcach, należy z powyższej liczby jedenastu wyłączyć trzy szkoły publiczne t. zw. przedmiejskie, które z miastem, prócz związku administracyjnego, właściwie nic wspólnego nie mają. Okaże się wówczas, że w Czerniowcach właściwych do ośmiu szkół ludowych publicznych uczęszczało ogółem 5.158 dzieci, w tej liczbie 1.990 Żydów, 1.066 Rusinów, 970 Polaków, a tylko 759 Niemców i 357 Rumunów. Pamiętać trzeba, że w tych wszystkich szkołach językiem wykładowym jest niemiecki!

Doliczywszy odpowiednie cyfry z szkół prywatnych, otrzymamy ogólną liczbę dzieci polskich w wieku szkolnym około 1200, co w stosunku do łącznej sumy Polaków, zamieszkujących Czerniowce, przedstawia procent wcale poważny. »Ile korzyści byłoby z tej młodzi — pisze miejscowa *Gazeta Polska* — gdyby mogła w szkole poznać należycie język ojczysty i gdyby jej nie wynaradawiały nieprzychylne ustawy i wrogie wpływy sztucznego ustroju szkół naszych!«...

W szkołach średnich, których jest ogółem trzy w Czerniowcach, udział narodowości tak się przedstawia:

1) wyższe gimnazyum państwowe liczy obecnie 807 uczniów, t. j. 492 Niemców, 142 Rumunów, 87 Polaków, 82 Rusinów i 5 innej narodowości;

2) państwowe gimnazyum niższe na 270 uczniów posiada 143 Niemców, 92 Rusinów, 26 Polaków i 8 Rumunów;

3) w wyższej szkole realnej jest w tym roku 511 uczniów, mianowicie 355 Niemców, 68 Polaków, 65 Rumunów, 21 Rusinów i 8 innej narodowości.

Udział młodzieży polskiej jest w każdym razie znaczny, zwłaszcza w szkole realnej, gdzie młodzież nasza drugie po niemieckiej zajmuje miejsce. Niestety szkoła nie uwzględnia wcale jej potrzeb ani pod względem religijnym, ani narodowym. Młodzież polska musi się uczyć religii w obcym dla siebie języku niemieckim. Krzywda tem jaskrawsza, że nie doświadcza jej żaden inny żywioł w Czerniowcach. Niemcom wykłada się religię po niemiecku, Rumunom po rumuńsku, Rusinom po rusku, tylko dzieci polskie są pozbawione tego prawa. Tak samo i z nauką języka ojczystego. Każdy żywioł uczy się swojej mowy, jedni tylko Polacy, jak stwierdza *Gazeta Polska*, albo nie uczą się jej wcale, albo tylko nadobowiązkowo, a w sposób wielce niedostateczny. »Pomimo wieloletnich starań ze strony Polaków tutejszych, w szkole realnej niema zgoła nauki polskiej, chociaż dziatwa polska jest tam po niemieckiej najliczniejsza. Odnośna prośba, jaką w tej sprawie wniesiono do Rady szkolnej krajowej, pozostała bez skutku, a nawet bez odpowiedzi. W obu gimnazyach uczą wprawdzie nadobowiązkowo po polsku, ale niewielka może być z tej nauki korzyść, skoro tak ją urządzono, iż uczniowie wszystkich klas ośmiu pobierają ją razem — w dwóch oddziałach. Wyobrazić sobie łatwo kłopotliwe położenie odnośnego profesora, gdy ma przed sobą w jednej klasie uczniów dopiero początkujących i takich, co już przez lat kilka uczęszczają na tę naukę! Pomimo to, władze szkolne nie godzą się, aby naukę rozłożono chociażby tylko na trzy stopniowe klasy!

»Gdyby podobne krzywdy działy się innemu żywiołowi, poruszonoby już niebo i ziemię; Sejm, Rada państwa rozbrzmiewałyby interpelacyami i wnioskami. Polakom bukowińskim nawet nie odpowiada się na wnoszone podania i memoryały, a głos *Gazety Polskiej*, od lat piętnastu nieustannie o tem piszącej, pozostaje bez echa«...

Z WYCHODZTWA I KOLONIJ.

WYDALENIE ROBOTNIKÓW POLSKICH.

Od pewnego czasu pisma hakatystowskie rozpisywały się o napływie robotników polskich do Niemiec, zwłaszcza do Westfalii i o niebezpieczeństwie, grożącem z tego powodu niemczyźnie. Ta kampania dziennikarska miała na celu przygotowanie opinii publicznej do rozpoczętej obecnie akcyi rządowej.

Minister spraw wewnętrznych wydał w d. 30 września następujące rozporządzenie:

»Przy ponownem dopuszczaniu rosyjskich i galicyjskich robotników do zajęć w zakładach krajowych, położono nacisk na to, aby o ile możności usunąć niebezpieczeństwo, zagrażające pod względem narodowym. Ze strony poważnej skarżą się obecnie na to, iż przepisy wydane w tym względzie nie są ściśle przestrzegane i że robotnicy zostają dłużej, niżeli prawo na to pozwala. Przypominam tedy rozporządzenia z d. 18 kwietnia 1891 r. i 24 kwietnia 1895 r., według których robotnicy z Rosyi i z Galicyi tylko w rolnictwie mogą być zatrudniani, nie zaś w przemyśle, że do roboty dopuszczać należy tylko osoby pojedyńcze, a tylko wyjątkowo całe rodziny, że nareszcie dozwolone to jest tylko na wiosnę i lato, a nie później, niż 15 listopada wszyscy robotnicy z Rosyi i z Galicyi, powinni wrócić do kraju swego i że należy natychmiast wydalić tych, którzyby pozostali po za termin 15 listopada.

»Nareszcie przypominam, że i wśród lata można wydalać robotników z Rosyi i Galicyi, jeżeli przez przyłącze-

nie się do grup robotników polskich, odłączających się od niemieckich, stają się niedogodnymi« *(sich lästig machen)* «

Na mocy tego rozporządzenia wydalono już z Dotmundu w Westfalii 70 Polaków, pochodzących z Królestwa i Galicyi. Ma się rozumieć, wydalają również robotników zakordonowych z Poznańskiego i wogóle z prowincyi polskich.

Ogromną większość Polaków w Westfalii stanowią obywatele pruscy, których rząd, przynajmniej na razie, wydalić nie może i nie chciałby zapewne, bo wzmocniłby tylko w ten sposób żywioł polski na kresach wschodnich. Nowe rugi mają na celu zaznaczenie, że polityka dotychczasowa rządu względem Polaków będzie nadal energicznie stosowaną.

Dzienniki urzędowe donoszą, że rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych jest właściwie tylko przypomnieniem dawnego Pracodawcy niemieccy, zwłaszcza zaś właściciele ziemscy zlękli się wydalania masowego tanich robotników polskich i zaczęli wnosić do ministeryum spraw wewnętrznych podania, żądające, żeby przynajmniej przedłużono tym robotnikom termin pobytu. Z podania izby rolniczej w Brandenburgii przytaczamy charakterystyczny wyjątek:

»Podzielamy także zdanie, że przyjmowanie robotników jest pod względem socyalnym i narodowym wielkiem złem. Nie ma wszakże widoków, żeby liczba robotnika krajowego wystarczyła. Industrya, obecnie w wielkiem rozwoju w Niemczech, ściąga do siebie całe gromady robotnika, bo płaci mu więcej, aniżeli płacić może rolnictwo. W roku bieżącym brak robotnika tak się dał rolnictwu we znaki, że w wielu okolicach prawidłowe prowadzenie gospodarstwa było niemożliwe, a w innych bardzo utrudnione. Trudności zwiększyły się przez elementarne klęski w Brandenburgii, ale i w innych prowincyach spóźniły się żniwa, zasiewy jesienne, jako też sprzęt okopowizn. Skutkiem tego cofniętą została uprawa pól w jesieni i zasiewy, tem więcej, że z okolicy nie można dostać w żaden sposób robotnika. Choć więc z względów narodowo politycznych nie należy zagranicznego robotnika trzymać długo w kraju, to jednak rolnictwo krajowe poniesie wielkie szkody, jeżeli rząd nie pozwoli pozostać robotnikom tym przynajmniej 7 do 8 miesięcy w kraju«.

Właściciele kopalń i fabryk w Westfalii protestują również przeciw wydalaniu robotników polskich, ma się rozumieć z tego tylko względu, że praca ich jest tańszą.

KOLONIE POLSKIE W BRAZYLII.

W pismach polsko-amerykańskich pomieszczane były niejednokrotnie artykuły, przedstawiające fałszywie stosunki w koloniach brazylijskich. Autorami tych artykułów, mających na celu zniechęcenie Polaków w Stanach Zjednoczonych do przenoszenia się do Brazylii, byli »malkontenci« galicyjscy, osobistości marne i wykolejone, które dały się użyć za narzędzie spekulantom północno-amerykańskim, świeckim i duchownym, obawiającym się odpływu wyzyskiwanej przez nich ludności polskiej.

Obecnie p. St. Kłobukowski, który od 2 lat z górą przebywa w Brazylii, prostuje te fałszywe wiadomości w *Zgodzie* chicagoskiej i podaje ciekawe szczegóły o koloniach polskich w Ameryce południowej.

»Najwięcej ludności polskiej znajduje się w stanach południowych Brazylii, cokolwiek w pozostałych, oraz w Argentynie, Urugwaju i innych hiszpańskich rzeczach pospolitych. W brazylijskiem stanie S. Paulo są rozproszeni przeważnie po plantacyach kawy i po miastach; skupieni są tylko w sporych, co prawda, koloniach, S. Bernardo i Capivari. Tamże kawy nie uprawiają, lecz zajmują się uprawą roli, oraz robotą przy tartakach. Jest ich tam może kilka tysięcy — może więcej. W brazylijskim stanie Santa Catharina, jest ich mniej więcej taka sama liczba, lecz osiedlonych na ziemi. W brazylijskim stanie Rio grande do Sul obliczają naszych rodaków na 40.000, lecz z wyjątkiem kolonii S. Feliciano, pomieszani są bardzo z Włochami i Niemcami, nie tworzą jednolitych wielkich kolonij, choćby przeważnie polskich, ani też sąsiednich grup kolonialnych polskich. Za to w brazylijskim stanie Parana, mającym 244.000 kilometrów kwadratowych i ludności mało co więcej niż 250.000, żywioł polski wynosi około 80.000 ludności. Skolonizowana część Parany nie zawiera prawie innych kolonii prócz polskich, sąsiadujących ze sobą. Jest to część kraju najchłodniejsza i najmniej urodzajna. Najpiękniejsze ziemie parańskie są dotąd zupełnie niezaludnione. Skupienie to ludności polskiej jest tak korzystne, jak żadnej innej narodowości w Brazylii, z wyjątkiem tylko chyba Włochów w stanie S. Paulo. Lecz tego prawie nie znać, bo koloniści składają się z ludzi prostych. Mało co tu przybyło dotąd polskiego stanu rzemieślniczego, przemysłowego i handlowego. Za to po miastach ton nadają nieliczni w Paranie Niemcy swym przemysłem i handlem, oraz niezłem zorganizowaniem się w towarzystwa i spółki.

»Dwojako można tu zasilić żywioł polski: liczebnie i jakościowo. Liczebnie, przez ściąganie większej liczby Polaków, ale pod warunkiem, że będzie przygotowany dla nich grunt pod nogami, t. j. warunki istnienia. Inaczej, sprowadzanie rodaków naszych, choćby na najżyźniejszy grunt, ale bez stwarzania im źródeł dochodu i zarobku, równałoby się zamknięciu ich w pokoju na zagłodzenie. Więc trzeba te źródła zdobywać, zakładając polskie przedsiębiorstwa, podnoszące kulturę, kolonizacyjne, eksploatacyjne, przemysłowe, handlowe, albo korzystając z tych, które zostały założone przez inne narodowości. Tym sposobem z korzyścią przybylibyśmy tu Polacy z innych części Ameryki i z Europy. Jakościowo zasilić można i trzeba istniejący już na miejscu żywioł polski przez podniesienie jego poziomu za pomocą towarzystw, szkół, i spółek, towarzystw rzemieślniczych po miastach, rolniczych po wsiach. Tam gdzie powstanie towarzystwo, łatwiej za nim powstanie szkoła i chętniej się znajdują z bliska i z daleka ludzie, łożący na oświatę czy to szkolną, czy to książkową. Kilka towarzystw powstało głównie w celu założenia szkoły polskiej. W wielu miejscach z wielką łatwością powstałyby i umocniłyby się, gdyby ktoś tylko do tego zachęcił, sporządził statuty lub je przestał gotowe, oraz przesłał czasopisma i książki«.

Ludzie dobrej woli są, trzeba ich tylko zorganizować i do działania zachęcić. Zakładają oni obecnie bezpłatną (?) szkołę polską w Kurytybie i na 22 stycznia 1898 roku zwołują wiec Polaków brazylijskich. Na ten zjazd Związek narodowy polski w Stnnach Zjednoczonych powinien wysłać swego delegata, którýby doprowadził do skutku założenie filii organizacyi północno-amerykańskiej. Naszem zdaniem taka organizacya, jak Związek narodowy, mająca obok celów politycznych i społecznych, charakter instytucyi asekuracyjnej, nie może się rozwinąć w koloniach brazylijskich, wskutek zupełnie odmiennych warunków i potrzeb miejscowych. Właściwem więc byłoby założenie oddzielnego Związku południowo-amerykańskiego, którego organizacya byłaby zastosowana do warunków miejscowych, co nie przeszkadzałoby mu utrzymywać ścisłej łączności z instytucyą północno-amerykańską.

PRZEGLĄD PRASY,

= W sprawie wyborów *Orędownik* zamieścił ciekawy artykuł, zdaje się, nadesłany redakcyi. Autor, podznaczony literą B... określa najbliższe zadania agitacyi wyborczej i wylicza cztery sprawy: 1. utworzenie komitetu centralnego dla całej ludności polskiej nie tylko w Prusiech, ale i w Niemczech; 2. jawność obrad w Kole polskiem; 3. obowiązkowe składanie sprawozdań poselskich; 4. zawieranie kompromisów z innemi stronnictwami. W sprawie utworzenia Komitetu Centralnego na całe Prusy a nawet Niemcy wypowiada zdanie, z którem całkowicie się zgadzamy:

„Myśl ta była już niejednokrotnie poruszoną, ale dotychczas nie znalazła oddźwięku w społeczeństwie. Zachodziłoby pytanie, czy obecnie nie należałoby jej wprowadzić w życie. Przeciwnicy Komitetu Centralnego kierowali się względami już to na rząd, już to na centrum, już to w ogóle na ogół niemiecki. Stosunki od tego czasu zmieniły się bardzo

„Mało dzisiaj jest pewnie między nami takich, którzyby się łudzili, że dotychczasowy system pruski ulegnie zasadniczej zmianie. Jeżeli się jeszcze więcej zaostrzy, to nie wpłynie na to utworzenie Komitetu Centralnego, lecz przeświadczenie, że dotychczasowe środki nie odniosły zamierzonego skutku, że mimo nich społeczeństwo polskie wzmaga się i rośnie coraz bardziej. Mogą więc być nowe próby, które — jak tuszymy — tak samo okażą się niedostateczne, jak dotychczas.

„Ale im większy napór, tem większy powinien być odpór. Z drogi legalnej nie zejdziemy nigdy, — ale skoncentrowanie wszystkich sił naszych do ratowania i podźwignięcia naszej narodowości jest akcyą zupełnie legalną, której nawet żaden uczciwy Niemiec za złe nam brać nie może.

„Co się tyczy centrum, nie widzę powodu, dla czegoby utworzenie polskiego Komitetu Centralnego miało psuć porozumienie między nami a katolikami niemieckimi. Mamy wiele wspólnych interesów i pożądaną nawet jest rzeczą, aby naczelna władza centrum mogła sie porozumiewać z centralną naszą władzą wyborczą. Wspólność interesów zachodzi przecież nie tylko na Śląsku Co się powiedziało o centrum, to się tyczy ogółu narodu niemieckiego, o ile tenże ma dostateczny zasób poczucia sprawiedliwości, aby oddać suum cuique — a zatem, aby nas nie chcieć „ausrotten“! Że między szowinistami niemieckimi może się z tego powodu wszcząć zgiełk i wrzawa, cóż nas to może obchodzić. Pamiętajmy i my o tem, że „die beste Deckung ist der Hieb“ — że przeciwko zorganizowanej potędze naszych przeciwników powinniśmy postawić nasze, równie silnie zorganizowane szeregi. Potulnością my ich nie rozbroimy, — prędzej się cofną, gdy spostrzegą, że my mamy nie tylko „Recht“ — ale i „Macht“, a potęgą jest silna i zgodna organizacya narodowa.“

Dotychczas sprawę utworzenia Komitetu Centralnego poruszał niemal wyłącznie *Goniec Wielkopolski.* Zaznaczyliśmy już, że utworzenie komitetu takiego jest niemal koniecznem dla zawierania kompromisów. To samo twierdzi autor artykułu w *Orędowniku.*

„Sama ta sprawa kompromisów przemawia za tem, abyśmy centralizowali całą naszą organizacyę wyborczą, bo zdarzyć się może, że za przeprowadzenie posła centrum w Westfalii lub na Śląsku, albo wolnomyślnego na Mazurach lub gdzieindziej będziemy mieli prawo żądać dopomożenia naszym kandydatom w Poznańskiem lub Prusach Zachodnich. Kto zaś mógłby zawierać układy, w których wchodziłyby w grę różne prowincye państwa, gdyby nie było u nas jednej centralnej władzy wyborczej?“

Ma się rozumieć, kompromisy powinny być zawierane dopiero przy drugiem głosowaniu. Potrzeba uświadomienia ludowi jego odrębności narodowej, a zarazem jego praw i obowiązków wymaga stawiania *wszędzie* w pierwszem głosowaniu kandydata narodowego.

= Niektórzy Polacy w Westfalii, należący podobno do zwolenników *Orędowniku* i *Postępu,* zamierzają przy przyszłych wyborach do parlamentu postawić własnego kandydata Polaka. Niemieckie pisma katolickie ganią ten projekt, dowodząc, że wyjdzie on tylko na korzyść socyalistom, których kandydat wtedy dojdzie zapewne do wyboru ściślejszego.

Wiarus bochumski zajmuje w tej sprawie stanowisko wyczekujące, właściwie nawet nieprzychylne kandydaturze polskiej:

„Jak dotąd, tak i nadal trzymać się winni Polacy na obczyźnie zasady, aby swymi głosami dopomagali do zwycięztwa kandydatowi katolickiego centrum. Do odstąpienia od tej zasady mogłyby Polaków zniewolić tylko bardzo ważne okoliczności. Rozumie się, że Polacy wszędzie, gdzie znaczniejszą rozporządzają liczbą głosów, mają prawo żądać, aby odnośny poseł uwzględniał ich słuszne życzenia, aby wogóle postawiono na kandydata osobistość, któraby życzliwość swą dla Polaków nie tylko słowem, ale i czynem udowodniła“.

Dziennik berliński ma odmienne zdanie, przytoczywszy bowiem z *Wiarusa* powyższy ustęp, pisze dalej:

„I my tak sądzimy. Uważamy jednakże za pożądane, aby rodacy nasi w Bochum stawili własnego kandydata, raz aby policzyć swe siły, powtóre zaś, aby stworzyć organizacyę polityczną, której dotąd nie mają. Tylko wtenczas, jeżeli będzie istniała instancya, która będzie mogła i miała prawo umawiać się ze stronnictwem centrum, zawierać z niem kompromis i przyrzec kandydatowi centrum swe poparcie pod warunkiem, że będzie uwzględniał potrzeby i życzenia polskiego ludu — tylko wtenczas będą rodacy nasi w Westfalii mieli pewność, że poseł wybrany ich głosami będzie też występował w ich obronie. O stworzeniu potrzebnej organizacyi należy więc pomyśleć, a sądzimy, że wyszłoby to i na korzyść naszego ludu w Westfalii, jak też centrum, które zawierając z komitetem polskim kompromis, tym pewniejsze miałoby zwycięztwo w walce z socyalistycznym kandydatem.“

= Zaznaczyliśmy już, że pisma litewskie, wychodzące w Prusiech i Ameryce, bronią często słusznej sprawy swego narodu w sposób niewłaściwy, a często nawet nieuczciwy. W artykułach *S. Pietierb. Wiedamosti* z powodu aresztowań w gubernii suwalskiej, przatoczone były zdania pism litewskich, np. *Varpas*, *Ukininkas*, dowodzące, że polityka rządu rosyjskiego »popycha Litwinów w objęcia polonizacyi« i że nawet religia katolicka stała się narzędziem polonizmu«. Chicagoska *Zgoda* tak pisze o zachowaniu się prasy litewskiej:

„Czy prasa litewska zagraniczna jest wyrazem dążności ludności litewskiej w kraju, rozstrzygać nie będziemy. Nie możemy się atoli powstrzymać od uwagi że wniosłe hasła narodowościowe nie są przez tę prasę — o ile poznać ją możemy ze sprawozdania *Pietersburskija Wiedomosti* — bronione w sposób, powadze sprawy godnie odpowiadający. Bo jakże ta prasa argumentuje? Oto z zakordonu odwołuje się do władz administracyjnych, by ludność litewską broniły przed polonizacyą! Zdaje się, że tu nieporozumienie jest aż nadto widoczne. Bronić przed polonizacyą? Wystawiam sobie, że amerykanie, czytając w *Varpas'ie* biadania na „ucisk Litwinów przez Polaków“, gotowi są uwierzyć iż gdzieś pod Wołkowyszkami stoi „armia polska“ powołana wyłącznie do wynaradawiania Litwinów, że w Kownie jest ognisko „rządu polskiego“, pracującego jedynie nad polonizacyą kraju. Te i tym podobne bajdy muszą się rodzić w łatwowiernych głowach pod wpływem szerzonych fałszów.

„Powtarzamy, prasa zakordonowa litewska nie używa broni szlachetnej; wątpimy też bardzo, czy popierana przez nią sprawa zyska co na takiem tendycyjnem zwracaniu uwagi Litwinów — na Polaków. Nikt chyba dziś nie zaprzecza, że Litwini istnieją, nikt nie uwierzy, że Litwini stają się Polakami dlatego iż... nie mają alfabetu łacińskiego!“

= Ksiądz Stojałowski skoro tylko odzyskał pewuą swobodę działania, rozpoczął znowu w swoich pisemkach propagandę moskalofilską. Zaznaczywszy słusznie, że o sprawie stosunku Polaków do Rosyi ten tylko sprawiedliwie i rozumnie pisać może, kto myśli »nie po lwowsku, krakowsku lub warszawsku ale po polsku«, kto odczuwa »boleści i pragnienia duszy polskiej« — tak dalej wywodzi:

„Tylko „zły“ lub „ślepy“ mógłby powiedzieć, że w Królestwie Polskiem nie zaszła żadna zmiana — albo że „wszystko co się zmieniło“ jest mało znaczącem, drobnostkowem, nie odpowiedniem do tego, co Polacy uczynili dla „ugody“. — Polacy, po prawdzie mówiąc, jeszcze nie uczynili nic, nie ponieśli żadnej ofiary dla przywrócenia lepszych stosunków. Boć przecie przyjęcie cesarza w Warszawie i składka na cel, który krajowi w pierwszym rzędzie ma przynieść pożytek, nie może jeszcze być nazwana ofiarą, ani podnoszona do znaczenia czynu, za który się coś należy. Wstydby był po prostu twierdzić lub powiedzieć: „Przyjąłem się grzecznie u siebie — teraz mi za to zapłać“. Tak robi hotelista nie naród! Cesarz, a za nim rzad, pierwsi zrobili krok ku zmianie, a Polaków rzecz nie stawiać przeszkód — owszem dopomagać do rozwoju i postępu dobrych stosunków.

Z widoczną złą wiarą wszelka polemika byłaby zbyteczną. Ks. Stojałowskiemu nie trzeba przecie tłómaczyć, że to, co nam się od rządu rosyjskiego należy, nie może być zapłatą za nasze »czyny« lub »ofiary«. Zaznaczamy więc tylko, że w tonie tak ultra-lojalnym nie przemawiało jeszcze żadne pismo polskie, nawet ciesząca się sympatyą żandarmów *Niwa*. Ba, nawet pisma rosyjskie nie są tak wymagającemi i nie twierdzą, że Polacy nic nie zrobili dla przywrócenia lepszych stosunków.

Widocznie jest prawdziwą pogłoska, że moskalofilstwo ks. Stojałowskiego pomogło mu pośrednio w Rzymie, zjednało mu bowiem poważną protekcyę.

== *Dziennik poznański*, broniąc kandydatury p. Cegielskiego, dotychczasowego posła z Poznania, w dziwny trochę sposób wychwala jego zasługi. Pewnego razu

„p. Cegielski, będąc przypadkowo tylko z posłem Władysławem Wolszlegrem w parlamencie, powziął szczęśliwą myśl, aby wypowiedzieć mowę, w której żądał, żeby parlament głosował przy nowym kodeksie cywilnym w paragrafie 60 oddzielnie nad ustępem, tyczącym się dóbr kolonizacyjnych i ustępem, tyczącym się dóbr rentowych“.

Wychwalanie posła za to, że podczas ważnych rozpraw »przypadkiem« znalazł się w parlamencie i również przypadkiem »powziął szczęśliwą myśl« wygłoszenia mowy, wydać się może umyślną ironia każdemu, kto nie zna naiwności politycznej *Dziennika*. Chroń mię Panie od takich przyjaciół — może powiedzieć p. Cegielski, bo z nieprzyjaciołmi łatwiej sobie dam radę.

== Wiadomo, że ks. Stojałowski, gdy nie zaślepia go namiętność i upór, jest politykiem rozumnym, publicystą bardzo zdolnym i bystrym. Odpowiedź, jaką daje w *Wieńcu* socyalistom na zarzut, że stojałowczycy w Wiedniu nie zwalczają hr. Badeniego, jest dobrze i zręcznie uzasadnioną:

„Zwalczając hr. Badeniego i Koło polskie, zwalczaliśmy gospodarkę galicyjską, opartą na wydzieraniu praw politycznych ludowi — na społecznym i ekonomicznym ucisku chłopa i robotnika. Zarzuty „że posłowie chrześciańsko-ludowi mieli walczyć przeciw hrabiemu Badeniemu, a nie walczą“, dowodzą tylko jednej rzeczy, a mianowicie, że ci, którzy je stawiają, na polityce nie wiele się rozumieją — albo też swoja chwilową osobista, czy partyjną korzyść wyżej stawiają, niż dobro ludu. Dobro ludu wymaga bezsprzecznie, aby w parlamencie pożytecznie pracowano, bo każda godzina pracy w parlamencie kosztuje przeciętnie tysiąc zł.! Walka nasza z hr. Badenim i Kołem polskiem właściwie w kraju, w Galicyi się toczy — a we Wiedniu o co, z Badenim mamy wojować? Tylko o to, gdyby jako minister spraw wewnętrznych nie poskramiał samowoli starostów, lub urzędników galicyjskich, ukracał prawa ludu itd. — znowu więc głównie idzie o to, co się dzieje w Galicyi lub na Śląsku.

„Nie możemy przeniknąć duszy hr. Badeniego — nie wiemy dotychczas, czy on szczerze i z poczucia słowiańsko-narodowego wydał rozporządzenia językowe, ale to zaprzeczyć się nie da, że wydając te rozporządzenia, hr. Badeni „pchnął Austryę na nowe tory — i z państwa z cechą niemiecką przerabiać ją zaczął na państwo z cechą słowiańską“.

Duszy ks. Stojałowskiego również nie można przeniknąć i szczerość jego w tym wypadku, jak w wielu innych, wydaje się mocno podejrzaną, trzeba jednak przyznać, że rozumuje trafnie, gdy mówi:

„Nikt rozumny i sprawiedliwy nie zaprzeczy, że „rozporządzenia językowe“ hr. Badeniego były nietylko, jakeśmy to dawno powiedzieli, pierwszym sprawiedliwym czynem Badeniego, ale nadto stały się one — może wbrew woli samego hr. Badeniego — czynem politycznym pierwszorzędnej doniosłości, wprowadzającym w Austryi zmianę systemu rządzenia.

„Dlaczego jednak nie można powiedzieć, że hr. Badeni zamierzał wywołać tę sprawę, albo że on ją głównie prowadzi? — chociaż to jest faktem, że hr. Baddni ją wywołał. Dlatego — ponieważ hr. Badeni tej wielkiej sprawy nie przygotował, nie przewidział, że ona z taką siłą się rozwinie, a wskutek tego, że brak było przygotowań, (które przy wyborach głównie były się powinny rozpocząć — i wprowadzić większość słowiańsko -federacyjną do parlamentu; co było nie trudnem) powstało teraz takie zamięszanie! I znowu wobec tego, co się dziś dzieje, hr. Badeni nie postępuje jak człowiek i wielki mąż stanu czyli polityk, który wie, czego chce, ale postępowanie ministra prezydenta jest chwiejne, niejasne, niezdecydowane. To wszystko sprawia wrażenie — a poniekąd dowodzi — że hr. Badeni został zaskoczony tak wielką sprawą polityczną, i nie umie sobie dać z nią rady Może, jak powiedział p. Herold, ma dobrą wolę coś zrobić, (bo jakżeby nie czuł, że przeprowadzenie takiej zmiany w Austryi, uczyniłoby go rzeczywiście — zasłużenie — nieśmiertelnym), ale stara natura badeniowska: szukanie drobnych pożytków swych i stańczykowskich, nawyknienie biurokratyczno-magnackie do intryg, zwodzenia, obiecywania wiele, a dania jak najmniej — przeszkadza mu w tem wielkiem dziele. Powiedzielibyśmy poniekąd, że Badeni galicyjski przeszkadza Badeniemu wiedeńskiemu w przeprowadzeniu wielkiej politycznej sprawy. Hr. Kazimierz Badeni jeszcze jest za dużo starostą rzeszowsko-żółkiewskim, aby być reformatorem Austryi na wielką skalę“.

Na zakończenie ks. Stojałowski stanowczo oświadcza, że »klub chrześciańsko ludowy« nietylko nie będzie popierał obstrukcyi, ale nawet będzie głosował za Badenim, gdyby to okazało się potrzebnem »dla utrzymania kierunku federacyjno-słowiańskiego«.

== Młody *Ruch katolicki*, pragnąc uzasadnić swój tytuł, stara się być ruchliwym i zarazem katolickim i wyrokuje o najrozmaitszych sprawach, o których nie ma należytego pojęcia.

Niedawno ten dziennik zamieścił artykuł o ruchu narodowym mazurskim w Prusiech Wschodnich i napisał takie oto banialuki, że Mazurzy pragną:

„wybrać posła, który będzie razem szedł z członkami Koła polskiego, że wyznający nieszczęsną herezyę luterską, zrozumieli, iż polska polityka musi być katolicką“

Naturalnie nie ma w tem szczypty prawdy, a chociaż nie ma i złej woli, podobne brednie, lekkomyślnie ogłaszane, mogą ruchowi mazurskiemu zaszkodzić poważnie.

Gazeta ludowa daje pismu lwowskiemu energiczną odprawę:

„Niechaj *Ruch katolicki* wie, że jesteśmy dobrymi ewangielikami i nie przestaniemy nimi być Szanujemy nasz język i obyczaje nasze, jak to na prawych Mazurów przystoi, lecz na tyle posiadamy zdrowego rozsądku, że staramy się nigdy nie zaczepiać w sposób niegodny i ubliżający uczucia innych ludzi“.

Dziwi nas również zdanie p. S. B. (Stanisław Bełza ?) w *Kuryerze codziennym*, że odrodzenie narodowe szło na Mazury »przez Warmię«. Ruch narodowy mazurski jest samodzielnym, lecz gdyby nawet inicyatywa szła przez Warmię, lepiej byłoby nie pisać o tem obecnie. P. S. B. zna widocznie stosunki kresowe i powinien rozumieć, że w niektórych wypadkach »mowa jest srebrem, ale milczenie — złotem«.

== Pisma hakatyskowskie coraz jawniej występują przeciw Austryi. Rząd niemiecki, ich zdaniem, winien wrócić na tory polityki Bismarka, pozyskać znowu sympatyę

Rosyi i wygrać ją przeciw Austryi, żeby, jak pisze *Rhein Westf. Zeitung* »polsko-czesko-klerykalna większość nie mogła już dłużej deptać nogami niemczyzny«.

Wyraziwszy się w sposób obraźliwy o dynastyi austryackiej, *Rhein Westf. Zeitung* dowodzi, że najpierwszym obowiązkiem polityki niemieckiej:

„jest obrona i ochrona niemieckiego ludu na całym świecie (!) a jeżeli Czesi i Polacy nie chcą na to pozwolić, to pozwolą na to Rosyanie i Turcy. Nam może być obojętnem, zkąd pomoc nam przyjdzie. Lepiej, że Rosyanin będzie panował w Krakowie, aniżeli żeby Polak panował w Wiedniu“.

= Z powodu wyroku najwyższego trybunału administracyjnego w Berlinie niektóre pisma niemieckie przypuszczają, że rząd na najbliższej sesyi sejmowej postanowi znowu wniosek o zmianę ustawy o stowarzyszeniach. Organy hakatystów dowodzą konieczności obowiązkowego używania języka niemieckiego na zebraniach publicznych, zwłaszcza mających charakter polityczny. Berlińska *Deutsche Zeitung* pisze:

„Znaną jest rzeczą, że niemal we wszystkich przemysłowych okolicach rzeszy — w kraju nadreńskim i Westfalii, w Hamburgu i Berlinie, w prowincyi i królestwie saskiem, w wielkich i małych miastach, nawet po wsiach — istnieją kolonie polskie. Dla każdej zosobna musi państwo pruskie dostarczać własnego polskiego żandarma, jeżeli nie chce zrzekać się swego prawa nadzoru. Ta perspektywa tak jest śmieszna, że nie potrzebujemy mówić o jej poszczególnem stosowaniu. Alo śmieszne następstwa powstają zawsze z przewrotnej podstawy, Wyrok najwyższego sądu administracyjnego obstaje wyraźnie przy zasadzie, wypowiedzianej w wyroku z 26 września 1876 r„ wedle której stosownie do przepisów konstytucyi wolno polskim obywatelom rozprawiac na zebraniach w językn polskim.

„Kontytucya państwa pruskiego posiada właśnie najgorszy błąd, jaki wogóle konstytucya jakaś mieć może: nie jest prawnem zwierciadłem państwowego życia, jakiem ma być, lecz jest oderwana od stosunków politycznych, istniejących w rzeczywistości. Pod względem narodowym czyni z Prus państwo parytetyczne, czem nie są z ducha swych dziejów i czem nigdy stać się nie mogą wobec swych zadań politycznych. Że przy niejasności stosunków, jaka panowała u nas przed pół wiekiem, można było popełnić taki błąd, jest rzeczą zrozumiałą; że nawet od roku 1870 nie znaleziono sposobności, by błąd ten naprawić, świadczy o narodowej ociężałości. Należałoby stanowcze zajęcie się kwestyą polską na soryo okazać najprzód w tem, że się stworzy zdrową podstawę prawną dla surowej polityki niemieckiej na wschodzie że się narodowościową parytetyczność wykluczy z konstytucyi i Prusy ogłosi się tem, czem są, niemieckiem państwem. Może wtenczas ustaną też tak niepojęte rzeczy, jak polska kolonizacya przez pruskie władze państwowe“.

Gesellige grudziądzki dowodzi, że

„Konstytucya — nie jest przecież nienaruszalną świętością, tylko budową, którą można zmieniać w drodze legalnej odpowiednio do zmienionych warunków życiowych. Ponieważ trybunał administracyjny zawiódł, przeto potrzeba nowej ustawy, która będzie się składała tylko z jednego przepisu i to następującego: „Na zebraniach politycznych dozwolonem jest używanie wyłącznie niemieckiego języka“.

Ber. Neueste Nachrichten nie bardzo wierzą w możliwość zmiany ustawy i, godząc się ze smutnym dla siebie faktem, żądają, żeby rząd starał się o urzędników, umiejących po polsku.

„Rząd będzie musiał wysnuć z tego wyroku następstwo i zdecydować się, co się ma stać dalej, gdyż bezpośrednim skutkiem tego wyroku będzie panoszenie się polskich zebrań w celu szerzenia bardziej ożywionej agitacyi. Wedle dotychczasowej praktyki mógł rząd powołać się na to, że mu braknie potrzebnych urzędników, znających język polski. Tej praktyce odjęto podstawę prawną przez wyrok najwyższego sądu administracyjnego. Pozostaje tylko jedno: albo trzeba spiesznie postarać się o urzędników jezykiem polskim władających, albo też zmienić ustawę o zebraniach i stowarzyszeniach w tym kierunku, żeby na zebraniach publicznych wolno było tylko używać języka niemieckiego. Czy pierwsze stanie się możliwem w krótkim przeciągu czasu, o tem wątpić należy; w każdym razie otrzyma polska agitacya, dópóki nie wszędzie będzie można dozorować zebrania przez umiejących po polsku urzędników, wolne pole do swego niebezpiecznego działania, dokona przez rozbudzanie namiętności narodowych i niejednego złego. Dla tego sądzimy, że minister spraw wewnętrznych musi natychmiast wydać do wszystkich rejencyi odpowiednie wskazówki, aby mu wymieniono rozumiejących po polsku urzędników; należy też skłonić landratury, żeby się zaopatrzyły w żandarmów, rozumiejących po polsku. W danym razie trzeba pomnożyć personal dozorujący. Już ze względu na ogólną kontrolę uważamy za niezbędne, aby organa policyjne w polskich dzielnicach władały dobrze językiem polskim, żeby mogły baczniejszą zwracać uwagę na zachowanie się polskiej propagandy, czy to w prasie, czy też w publicznem występowaniu“.

= Dzienniki pruskie nie ukrywają swego zadowolenia z „błędu politycznego», jakiego dopuścił się rząd rosyjski, pozwalając na uroczyste ucz·zenie pamięci Murawiewa w Wilnie. Berliński *Reichsbote* nie tai nawet powodów tego zadowolenia.

„Po wypadku wileńskim — pisze: — zamilkły w prasie rosyjskiej i warszawskiej głosy o zjednoczeniu się Słowian, a zdaje się, jakoby obydwie strony czekały, co się w przyszłości wyłoni. Tyle atoli jest pewnem, że jeżeli rząd rosyjski szczerze pragnął pogodzenia Rosyi z Polską, popełnił on w tym razie błąd taktyczny, którego łatwo było można uniknąć. Dla nas Niemców nie może to być niemiłem, jeżeli ten dotąd słaby węzeł przyjaźni rosyjsko-polskiej się rozluźni, zjednoczenie Słowian byłoby bowiem głównie przeciw Niemcom skierowane“.

Z OBCEGO ŚWIATA.

PRZEDAJNOŚĆ PRASY ROSYJSKIEJ.

Książę bułgarski Ferdynand ma obecnie serdecznych przyjaciół i obrońców w tych właśnie organach prasy rosyjskiej, które przed paru laty jeszcze odsądzały go od czci i wiary. Nie jest to jednak przyjaźń bezinteresowna. Wielki patryota rosyjski i panslawista p. Komarow, redaktor dziennika *Świet* otrzymuje hojne honoraryum za obronę obecnego rządu bułgarskiego i księcia. Dziennik opozycyjny bułgarski, *Narodni prawa* (organ Radosławowa) zamieścił niedawno formalne oskarzenie, że p. Komarow pobiera 60.000 fr. od intendentury pałacowej i ministeryum spraw zewnętrznych (*Komarow biesze płaten adwokat na błgarskitie uprawnici. Honorar mu biesze dosta znaczitelen, 60.000 franka, koito połuczawasze riedowno ot dworcowoto intendantstwo i ot ministerstwoto na wnieszni dieła).*

P. Komarow nie odpowiadał wcale na to oskarżenie, milczała o niem również prasa urzędowa bułgarska, która przemówiła wtedy dopiero, gdy *S. Pietierb. Wiedomosti* poruszyły tę drażliwą sprawę. Nakoniec zapytany wprost przemówił i p. Komarow, ale nie odpowiadając na zarzut przedajności, zwymyślał te pisma rosyjskie, które wiadomość o 60.000 fr. z *Narodni prawa* przedrukowały.

Niewątpliwie rząd bułgarski wytoczył by proces dziennikowi opozycyjnemu, gdyby ten nie miał dowodów przedajności p. Komarowa. Radosławow, stronnik Austryi, jest dziś najpopularniejszym w Bułgaryi mężem stanu i książę Ferdynand ze Stoiłowem chętnie by go o potwarz oskarzyli, gdyby mogli.

Cała sprawa nie ma wielkiego znaczenia, ciekawą jest tylko nowy objaw demoralizacyi politycznej prasy i społeczeństwa rosyjskiego. Do niedawna chlubili się, poniekąd słusznie Moskale, że nawet najzawziętsi przeciwnicy rządu, nawet klasyczni łapownicy i złodzieje nie zdradzali nigdy na rzecz obcych interesów państwowych i narodowych. Stwierdzona kilkakrotnie przedajność ultra-patryotycznych pism rosyjskich, lub przed paru tygodniami osądzona sprawa

wysokiego urzędnika Parenowa, oskarzonego wraz z 7 innymi o sprzedanie rządowi austryackiemu ważnych dokumentów wojskowych — świadczą o pewnej zmianie w tym względzie.

Nasi ugodowcy, których tak martwiły poglądy p. Komarowa na sprawę polską, mogą się pocieszyć.

Główny przedstawiciel patryotyzmu rosyjskiego i prawosławia okazuje się człowiekiem przystępnym i nawet nie zbyt wymagającym. Biednym Bułgarom wydaje się, że *honorar mu biesze dosta znaczitielen — 60.000 franka*, ale 60 000 fr. to tylko 20 000 rs. — bagatela dla naszych panów, chociażby nawet, ze względu na ważność sprawy dzielny »jenerał serbski« dwa razy tyle zażądał.

PLOTKI DARMSZTADZKIE.

W prasie niemieckiej narobiło dużo hałasu zajście między carem Mikołajem II i W. ks. badeńskim, zięciem Wilhelma I, a więc wujem panującego obecnie cesarza. Grzeczny zazwyczaj car w sposób szorstki odmówił W. ks. badeńskiemu przyjęcia jego wizyty, o czem obrażony władzca małego państewka zawiadomił w gazecie urzędowej swoich poddanych, i wszystkich Niemców. Rozmaicie tłómaczono powody tego zajścia. Najprawdopodobniejszą wydaje się obecnie najpierwsza wersya, że W. ks. badeński chciał wystąpić jako pośrednik i załagodzić nieporozumienie, które powstało pomiędzy carem i Wilhelmem II podczas bytności tego ostatniego w Darmsztadzie.

Czy rzeczywiście dwaj »zaprzyjaźnieni« władzcy pokłócili się — niewiadomo dokładnie, tymbardziej nie wiadomo, o co się pokłócili. Teraz dopiero *Kreuz-Zeitung* daje do zrozumienia swym czytelnikom, że dwaj cesarze mogli się pokłócić o sprawę polską. Kiedyś stary Bismark publicznie wygłosił zdanie, że gnębienie Polaków jest najlepszą rękojmią przyjaźni prusko-rosyjskiej. Prawdopodobnie cesarz Wilhelm wyrzucał carowi, że rękojmię tej przyjaźni chce osłabić. Dziennik niemiecki powiada wprawdzie, że w Darmsztadzie »ścierały się w sprawie polskiej wpływy petersburskie z pół angielskimi« i nic nie wspomina o wpływach niemieckich, ale zaraz potem dodaje, że »rokowania darmsztadzkie znajdą wyraz w zaostrzeniu stosunków w Polsce pruskiej« i tajemniczo oznajmia, że pomimo »wszechstronnego ucisku« Polacy należą do tych, »o których życzliwość czynione są starania«.

»My, pisze *Dziennik poznański* — ani chwili nie wątpiliśmy o tem, że w Darmsztacie wywierano nacisk w kierunku antypolskim. A i to przypuszczać możemy prawie na pewno, że nacisku tego nie wywierały ani petersburskie, ani pół-angielskie wpływy«.

Jeżeli istotnie nastąpiło nieporozumienie z powodu sprawy polskiej pomiędzy carem i Wilhelmem II, to biorąc na uwagę właściwości charakteru tego ostatniego, można się spodziewać, że z pobudek obrażonej miłości własnej, będzie z osobistą, szczególną zawziętością popierał politykę antypolską swoich ministrów.

KRONIKA.

— Na rodziny osądzonych w sprawie Grütnera robotników polskich sama *Gazeta grudziądzka* zebrała z górą 1000 marek, głównie z drobnych kilkudziesięcio-fenigowych składek. Redaktorowi *Gazety gdańskiej* z powodu tych składek wytoczono sprawę.

— Na uniwersytecie berlińskim prf. Schliemann ogłosił szereg wykładów „o powstaniach polskich w XIX wieku“. Profesor jest wrogiem Polaków i wielbicielem Rosyi, zapowiedział jednak, że pragnie być bezstronnym.

— Hakatystowska *Magdeburger Zeitung* gani zarząd poczty za to, że nowe, podwójne karty listowe kazał wykonać w „barwach polskich“ — białej i czerwonej. *Posener Zeitung* drwi sobie z tego powodu, zaznaczając, że należałoby oskarzyć o zdradę kraju każdego kawalera orderu Czerwonego Orła, ponieważ ta oznaka honorowa ma barwę białą i czerwoną.

— Socyalistyczny *Przedświt* londyński dosyć surowo i ze swego stanowiska trafnie krytykuje niewłaściwe zachowanie się w Radzie państwa p. Daszyńskiego i wogóle austryackich demokratów socyalnych w sprawie rozporządzeń językowych.

— *Zgoda* chicagoska donosi, że rząd pruski nie chce zgodzić się na uznanie p. Brodowskiego jako konsula Stanów Zjednoczonych we Wrocławiu, na tej zasadzie, że pan Brodowski był przewódcą patryotycznej organizacyi polskiej w Ameryce. Rząd amerykański nie ma podobno zamiaru ustąpić w tej sprawie i domaga się stanowczo, żeby p. Brodowski objął obowiązki konsula.

— Sąd ławniczy w Mysłowicach skazał żonę górnika K. na 24 godziny aresztu za to, że nie chciała składać zeznań pod przysięgą w języku niemieckim.

— Socyaliści polscy postawić zamierzają dwóch kandydatów na Górnym Śląsku pp. Morawskiego i Berfusa, na okręgi Katowice-Zabrze i Bytom-Tarnowice. Oburzyli się na to socyaliści niemieccy, którzy w jednym okręgu chcieli postawić kandydata Niemca. Z tego powodu wywiązała się bardzo ostra polemika.

— Stempel dziennikarski ma być wkrótce w Austryi zniesiony, zapewne dla tego teraz właśnie stronnictwo socyalistyczne urządza demonstracye, żądające zniesienia tego niesprawiedliwego ciężaru, żeby później z większem prawdopodobieństwem przypisać sobie zasługę. Pochód, urządzony we Lwowie, zgromadził ledwie kilkuset ludzi, w wiadomości jednak, przesłanej do *Gazety robotniczej* w Berlinie, ta liczba wyrosła przez drogę „na kilkadziesiąt tysięcy“.

— Pod Tarnowem w Galicyi zmarł niedawno głośny niegdyś na Litwie ks. Stanisław Piotrowicz, który przed dwudziestu kilku laty spalił na ambonie w Wilnie rozporządzenie władzy duchownej, dążące do rusyfikacyi nabożeństwa katolickiego. Po długoletnim pobycie w północnej Rosyi ks Piotrowicz otrzymał przed kilkoma laty pozwolenie wyjazdu do Galicyi.

TREŚĆ: Podstawa polityczna. — Młodzież uniwersytecka w Warszawie, nap. S — Z całej Polski nap. J. L. Jastrzębiec. — Z zaboru rosyjskiego: Warszawa nap. * * *. Aresztowania w Dąbrowie. — Z zaboru pruskiego: Wiec ludowy w Poznaniu; Zjazd w Grudziądzu; Klęska w Gnieźnie; Nowy fundusz kolonizacyjny; W sprawie nabożeństw polskich; Protest hakatysty. — Z Galicyi: Panama krakowska; Spór o Morskie Oko; Zapędy germanizacyjne; Ciekawy regulamin. — Z kresów: Ruch ludowy na Mazowszu pruskiem; Litwini pruscy; Wykazanie kłamstw urzędowych; Potworna wiadomość; Szkolnictwo w Czerniowcach. — Z wychodztwa i kolonii: Wydalenie robotników polskich; Kolonie polskie w Brazylii. — Przegląd prasy. — Z obcego świata: Plotki darmsztadzkie; Przedajność prasy rosyjskiej. — Kronika.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor dr. Ernest Adam.

Rzecz znamienna, zaznaczymy nawiasem, że Francuzi, którzy o odwecie i utraconych prowincyach lubią rozprawiać, pogodzili się jednak z faktem i rząd zabronił Alzatczykom i Lotaryńczykom podawać się za Francuzów. Przytaczano właśnie ten przykład emigrantom, którzy domagali się, żeby im zostawiono miano Polaków i dodawano: *Nous y mettrons ex-Polonais si vous y tenez absolument.*

Zmniejszono też zapomogi dobroczynnym i naukowym zakładom polskim. Kraj coraz mniej się nimi zajmuje. Zarząd zakładu św. Kazimierza odzywa się do rodaków z prośbą o poparcie, przypominając, że zakład istniejący od 50 lat jest zarazem przytułkiem dla zasłużonych weteranów i szkołą dla sierot i wogóle biednych dzieci polskich.

»Poza skromnym funduszem rezerwowym, czytamy w wyżej wspomnianej odezwie, przynoszącym parę zaledwie tysięcy franków rocznego dochodu, środki te nie mają nic stałego ani zapewnionego. Pochodzą one jedynie z zapomogi rządu francuskiego i z jałmużny. Jako następstwo mamy przed sobą w teraźniejszości deficyt, w przyszłości zaś perspektywę podwójnej ruiny. Przewidywać nam bowiem wypada nietylko niemożebność starczenia bieżącym potrzebom dwóch naszych domów; żyjąc z dnia na dzień, pozbawieni byliśmy od dawna możliwości dokonania w jednym i drugim domu robót restauracyjnych, które stały się tym sposobem coraz więcej naglącemi. Starcom naszym, sierotom naszym nie staje już dzisiaj chleba; jutro nie stanie im może dachu nad głowami«.

Rząd francuski wkrótce zapewne cofnie zupełnie zapomogę, pozostanie więc tylko jałmużna. Czyż społeczeństwo nasze pozwoli żebrać i powoli umrzeć z głodu tym starcom, co »byli sercem i sławą narodu« czy nawet wogóle powinniśmy ich dziś narażać na upokorzenie otrzymywania zapomogi od sprzymierzonej z carem Francyi?

Z OBCEGO ŚWIATA.

Sprawa armeńska w izbie francuskiej. Deputowani katolicy interpelowali rząd w sprawie armeńskiej. Pierwszy przemawiał rojalista Cochin, który zastosował do Armeńczyków słowa Montalamberta, powiedziane niegdyś w naszej sprawie: »dziwić się trzeba tylko, że po rzeziach w Polsce każdy Polak nie wpadł w szał wściekłości«. Zakończył jednak mowę swoją odwołaniem się do Rosyi: »Przyjaźń Francyi ma swoje ciężary. Pierwszym, najświętszym z tych ciężarów, musi być pojęcie szlachetnych marzeń Francyi i poparcie jej, ile razy w wspaniałem uniesieniu chce dopomódz słabym, uciemiężonym i przywrócić panowanie sprawiedliwości.«

W podobnym duchu przemawiał hr. de Mun i inni, dopiero socyalista Jaurés, odpowiadając ministrowi spraw zewnętrznych, napiętnował zależność polityki francuskiej od Rosyi. Rzecz znamienna, że niektóre dzienniki francuskie, przytaczając mowę Jauresa, wypuściły z niej cały ustęp o Polsce.

»Francya — rzekł on — nie ma w Azyi Mniejszej innej polityki, jak iść w ślad za Rosyą. Rosya próbowała od wieku podniecać po za granicami swemi uczucia słowiańskie i zachcianki rewolucyjne wśród plemion uciśnionych przez Turcyą. W Polsce popierała bunty chłopskie przeciw uciskowi panów, na Bałkanach temu lat dwadzieścia rozsiewała idee słowianofilskie. Car Aleksander II. zalecał swojej wiernej szlachcie świętą rewolucyą dla świętej sprawy panslawizmu. W Armenii od wojny turecko rosyjskiej najczynniejszymi ajentami niezadowolenia narodowego byli stronnicy Rosyi, ochotnicy armeńscy, którzy służyli w wojsku rosyjskiem przeciw Turcyi. Ale Rosya spostrzegła się od kilku lat, że niebezpiecznie dla niej bawić się w grę rewolucyi i niepodległości. *Widzi, że Polska, pomimo upływu krwi, którą się jej peryodycznie puszcza, i systemu policyjnego, rozciągniętego przez nasz rząd aż do nadzoru nad kolonią polską we Francyi, zachowała w pełni wiarę swoją.* Niepokoi to Rosyę. Rosya spostrzegła się po kongresie berlińskim, że narodowi bułgarskiemu nie chce się zamienić jarzma tureckiego na rosyjskie. Książę Łobanow na nalegania gabinetów, pragnących zapobiedz rzezi w Armenii, odpowiadał: »Nie chcę, aby Armenia stała się drugą Bułgaryą i żeby Armeńczycy, poddani Rosyi, mogli nam przytaczać ustępstwa, uczynione ich narodowości w Turcyi«. Rosya wystąpi w dniu, w którym Armenia będzie pozbawiona wszelkich żywiołów rewolucyjnych, mogących ją samą zarazić. Dziś Francya nie ma już monopolu idei sprawiedliwości. Ale mogła wymagać, żeby w kraju, wobec którego przyjęła pewne zobowiązania, nie przedłużano okropnej rzezi przez trzy lata. Wobec takiego zgwałcenia prawa ani słowo nie wyszło z waszych ust, zostaliście niemi, jesteście więc wspólnikami wyrznięcia całego narodu. Nikt nie zna polityki Francyi«.

Prezes izby protestował przeciw oskarżeniom Jauresa, który mowę swoją zakończył następującym wywodem: »Europa okazała się niedołężną, chciwość ją paraliżuje do do tego stopnia, że nie zapobiegła rzezi, nie wyciągnęła ręki, aby wstrzymać mordercę. Możemy więc przed wyrobnikami wciągnąć do akt bankructwo Europy urzędowej. Przestaliście być narodami kierującemi. Nie jesteście nawet wstanie wypełnić waszego najprostszego zadania chrześciańskiego. Na tym wschodzie, w którym chrześcianizm powstał temu ośmnaście wieków, zapowiadając pokój powszechny, spełnia się bankructwo starej Europy chrześciańskiej. Rządy nie są już wstanie porozumieć się. Niech więc proletaryat europejski weźmie w rękę tę sprawę i zmusi rządy do praktyki elementarnych obowiązków ludzkości«.

Trzeba jednak zaznaczyć, że proletaryat francuski w osobach swych przedstawicieli uznanych korzy się również przed Rosyą i carem, i że p. Jaurés stanowi jeden z nielicznych wyjątków.

Dr. Adler. Naczelny redaktor socyalistycznej *„Arbeiter-Zeitung“* w Wiedniu, niedawno wygłosił publicznie referat, z którego kilka uwag rozsądnych, mogących obchodzić szersze koła, przytaczamy poniżej. Tematem był stosunek uczącej się młodzieży do socyalizmu i partyi socyalistycznej.

»Obecny ruch społeczny — mówił dr. Adler — jest ścieraniem się interesów klasowych, i w tym ruchu chcą zająć studenci pewne, ściśle określone stanowisko. Jeśli wspomniałem o walce klas, uczyniłem to dla tem jaśniejszego oświetlenia pozycyi socyalnej studentów, którzy właściwie do żadnej klasy nie należą, ponieważ zapatrywania ich są dopiero w rozwoju i bez stałej politycznej barwy. Przychodzicie na uniwersytet z głowami, pełnemi ideałów i z zupełną nieznajomością świata... Ten idealizm studencki jest, w pierwszym rzędzie, wynikiem braku ścisłego, skończonego wykształcenia... Rządzącym sferom udaje się wielką część studenteryi utrzymać w tej nieznajomości swego otoczenia, stosunków społecznych i prawdziwej wartości ideałów mieszczańskich... Ale gdyby nawet ta metoda zaciemniania umysłów była stokroć bardziej potężną i systematyczną, przecież niemożliwem jest dla niej przytłumienie doszczętne ruchu wzmagającego się między studentami, który skłania lepsze jednostki pomiędzy nimi do zajęcia stanowiska wobec tego pożaru światowego, jaki obecnie rozdmuchuje kapitalizm... Do wzięcia udziału w ruchu